

Na straży rodzinnej kolekcji

**Z dyrektorem Muzeum im. Przypkowskich w Jędrzejowie -
Janem Przypkowskim, rozmawia Joanna Sokołowska-
Gwizdka**



Jan Przypkowski, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Przypkowscy herbu Radwan (Radwanici) pochodzą z Mazowsza. W XVI w. rodzina Przypkowskich przystąpiła do braci polskich – arian, a Jan Przypkowski (ok. 1520 – ok. 1606) uznający ideały równości uwolnił swoich poddanych z pańszczyzny. Znany XVII-wiecznym przedstawicielem rodu był Samuel Przypkowski (ok. 1592-1670) – pisarz religijny i polityczny, działacz braci polskich, filozof, poeta, związany z dworem Radziwiłłów w Birży. W XVIII w. słynnym Przypkowskim stał się profesor astronomii i matematyki na Uniwersytecie Jagiellońskim Jan Józef Przypkowski (1707-1758). Był on m.in. wydawcą kalendarzy, a w

1740 r. zaprojektował zegar słoneczny na Kościele Mariackim w Krakowie. Rodzina Przypkowskich osiedliła się w Jędrzejowie na początku XIX w. Kupili wtedy kamienicę w rynku. Piotr Andrzej Przypkowski, producent mydła i świec, ufundował w miasteczku kaplicę przy kościele parafialnym i kazał wędrownemu malarzowi wymalować na niej zegar słoneczny. Kolekcję dotyczącą astronomii i gnomoniki (nauka o zegarach słonecznych) zapoczątkował syn Piotra Andrzeja – Feliks Przypkowski (1872-1951), który przez pięćdziesiąt lat był lekarzem w Jędrzejowie. Od końca XIX wieku gromadził on zegary słoneczne i literaturę na ich temat, prowadził pomiary meteorologiczne, zbudował też w Jędrzejowie, istniejące do dziś, obserwatorium astronomiczne. Pasję kolekcjonerską Feliksa Przypkowskiego podzielił jego syn Tadeusz Przypkowski (1905-1977), historyk sztuki, grafik, fotografik, miłośnik starych książek i heraldyki. Nie tylko był jednym z nielicznych na świecie znawców zegarów słonecznych, ale także i ich budowniczym. Stworzył m.in. osiem zegarów dla obserwatorium w Greenwich. W 1962 roku został dyrektorem Państwowego Muzeum im. Przypkowskich w Jędrzejowie. Wtedy też przekazał kolekcję zegarów słonecznych państwu. Tadeusz Przypkowski ożenił się ze Stefanią z Ossowskich, więźniarką Ravensbrück, wdową po Witoldzie Hulewiczu – znanym krytyku literackim, poecie, tłumaczu i wydawcy, rozstrzelanym w 1941 r. w Palmirach. Ich syn, Piotr Maciej Przypkowski, historyk sztuki, przez wiele lat również pełnił funkcję dyrektora Państwowego Muzeum im.

Przypkowskich w Jędrzejowie, aż do przejścia na emeryturę w 2017 r. Obecnie dyrektorem muzeum jest syn Piotra Macieja – Jan Przypkowski.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Wychowywał się Pan w Jędrzejowie?

Jan Przypkowski:

Tak, wychowywałem się w Jędrzejowie, ale tylko do końca szkoły podstawowej. Do liceum poszedłem już w Warszawie.

Potem skończył Pan historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim i rozpoczął pracę zawodową w prestiżowych placówkach, o których marzy każdy historyk sztuki.

Pracowałem w Zamku Królewskim w Warszawie, w Niemieckim Instytucie Historycznym i w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk, współpracowałem z różnymi muzeami, w tym najdłużej z Muzeum Narodowym w Warszawie. Było to ciekawe doświadczenie zawodowe. Z Zamkiem Królewskim zacząłem współpracować jeszcze na studiach jako edukator – prowadziłem zajęcia tematyczne dla szkół, z różnymi grupami wiekowymi, potem pracowałem na etacie w zamkowym Ośrodku Oświatowym.

Wyrastał Pan w rodzinie z kolekcjonerską pasją, w atmosferze sztuki. Czy od dzieciństwa wiedział Pan, że stanie kiedyś na straży zbiorów rodzinnych i zostanie dyrektorem muzeum, tak jak Pana dziadek czy ojciec?

Rodzina robiła wszystko, żeby oswoić mnie z tą myślą. Miałem więc świadomość, że kiedyś to nastąpi. Aż w końcu przyszedł ten czas i mimo, że miałem zorganizowane życie rodzinne i zawodowe w Warszawie, zdecydowałem, że należy wrócić do Jędrzejowa i kontynuować rodzinną tradycję.

Jest Pan na stanowisku dyrektora już cztery lata. W tym czasie była pandemia, która wstrzymała pracę placówek muzealnych. Jak Pan ocenia swoją pracę w muzeum i jaka jest Pana wizja rozwoju tego miejsca?

Muzeum wciąż wymaga różnego rodzaju inwestycji, remontów. Na niektóre dostajemy środki z zewnątrz, na inne musimy się starać sami, aby te środki pozyskać. Staram się wciąż rozwijać edukację i organizować lekcje muzealne na różne tematy dla szkół z Jędrzejowa i okolic. Osobną sprawą są wystawy czasowe, które od wielu lat regularnie w muzeum organizuję. Wielką zasługą mojego ojca jest to, że zaktywizował lokalne środowisko. Każda wystawa to połączona z koncertem uroczystość, na którą się przychodzi. Ojciec zachęcił też miejscowych twórców, żeby w muzeum wystawiali swoje prace i przychodzili potem ze swoimi

rodzinami. Muzeum w Jędrzejowie, za czasów dyrekcji mojego ojca, było więc skierowane do lokalnej społeczności. Moim pragnieniem jest wyjść dalej, poza Jędrzejów i okolice, chciałbym, aby nasze wystawy przyciągały też ludzi z zewnątrz i były dla nich atrakcyjne.

W planach przed pandemią miał Pan rozbudowę ekspozycji gastronomicznej. Tadeusz Przypkowski interesował się historią kuchni polskiej, gromadził różne sprzęty potrzebne w kuchni, książki kucharskie, dawne przepisy, menu z różnych restauracji. Na jakim etapie jest teraz ta ekspozycja?

Dział gastronomii w muzeum jest bardzo bogaty i obejmuje nie tylko sprzęty do przygotowywania posiłków, ale również przepisy kulinarne. W bibliotece mamy mnóstwo książek, w tym starodruków, poświęconych kuchni, są też różnego rodzaju menu z restauracji i to często takich, które już dawno nie istnieją.

Ekspozycja gastronomiczna, która była w muzeum, zanim objąłem stanowisko dyrektora, nie posiadała informacji na temat zastosowania poszczególnych narzędzi kucharskich. Marzyło mi się zorganizować tę ekspozycję w nowy sposób, żeby zwiedzający wychodząc z tej wystawy wiedzieli znacznie więcej, niż przed wejściem. Chciałem zaznaczyć wyraźny podział na typy sprzętów, z opisem, do czego służyły, pokazać różne aspekty do

przygotowywania pożywienia, żeby była to wystawa, z której można coś wynieść i się nauczyć. Tak więc obecna ekspozycja kulinarna ma poruszać problemy z zakresu kultury jedzenia, czy zachowania się przy stole.

Z powodu pandemii nie było możliwości zorganizowania uroczystego otwarcia nowej ekspozycji, ale pokazujemy ją już zwiedzającym i słyszymy od nich dużo pozytywnych komentarzy. Okazją do zorganizowania imprezy promującej nową wystawę – o ile pandemia pozwoli – będą Europejskie Dni Dziedzictwa we wrześniu tego roku.

Dział gastronomii to też wspaniały zbiór zastawy stołowej, porcelany na różne okazje. Często nawet nie domyślamy się do czego mogły dane naczynia służyć. Piękny i unikalny jest np. wózek do serwowania wina roboty słynnej paryskiej firmy Christoffle, zdobiony ornamentem z winnej latorośli. Jakie jeszcze przedmioty związane z kuchnią, o ciekawej historii czy zastosowaniu kryje Muzeum w Jędrzejowie?

Och, długo by wymieniać. Sporo jest sprzętów, które dziś już nie mają zastosowania, jak na przykład maszynka do lodów wraz z całym oprzyrządowaniem. Jest też wiele przedmiotów, których dokładne przeznaczenie mogliśmy zrozumieć dopiero po kilkukrotnym przestudiowaniu przepisów z kilku starych książek kucharskich.

Wbrew temu, co się na całym świecie promuje jako typową kuchnię polską - schabowy, pierogi, bigos, czy kielbasa, kuchnia staropolska była bardzo bogata i atrakcyjna.

Pracując w Katedrze Literatury Staropolskiej na Uniwersytecie Łódzkim miałam okazję zetknąć się z wieloma tekstami na ten temat. Zagłębiając się w zagadnienie byłam pod wrażeniem bogactwa przypraw, wykorzystywania runa leśnego w kuchni i przeróżnych naczyń świadczących o kulinarnej finezji.

Tak, to prawda. Właśnie zarówno o tej finezji w kuchni, jak też ilości osób zasiadających do stołu świadczą książki kucharskie, które mamy w bibliotece, jak np. „Kucharz doskonały” – weź żubra świeżego, albo łosia....

Lub - weź ćwierć wołu na rosół.

A skoro jesteśmy przy kuchni, czy próbuje Pan zainteresować miejscowe lokale gastronomiczne przepisami staropolskimi, czy też słynnymi przepisami pana babci - Stefanii Przypkowskiej, na dania podawane podczas zjazdów historyków sztuki w Jędrzejowie?

To są raczej skomplikowane dania. Ale niektóre jędrzejowskie restauracje serwują od czasu do czasu uproszczoną wersję Przypkowskiej zupy cebulowej.

W Państwa bibliotece można obejrzeć też unikalny zbiór starodruków, który liczy ok. 600 tomów. Do najcenniejszych eksponatów należy dzieło Kopernika „De revolutionibus orbium coelestium”, wydane w 1566 r. w Bazylei. Są też książki z autografami Heweliusza, Kartezjusza czy Huyghensa. Skąd takie cenne wydania w zbiorach bibliotecznych muzeum?

Większość starodruków kupował Feliks Przypkowski. Interesował się astronomią, pomimo, że skończył medycynę. Lekarz – to był jego zawód, a astronomia – to hobby. Kupował książki już podczas studiów w Wiedniu, miał potem kontakty z wieloma antykwariuszami, którzy powiadamiali go jak się coś ciekawego u nich pojawiło. Starodruki wówczas nie były bardzo tanie, ale nie był to ten poziom cenowy, co obecnie, stąd też początkujący lekarz powiatowy mógł sobie pozwolić na regularne kupowanie m.in. książek. Dzięki pasji astronomicznej Feliksa zawdzięczamy ten zbiór cennych książek.

Kolejna pasja Feliksa Przypkowskiego, kontynuowana przez Tadeusza Przypkowskiego to zegary słoneczne i wszelkiego rodzaju przyrządy do pomiaru czasu, jak np. klepsydry, zegary ogniowe, czy przyrządy astronomiczne. Zegary są wystawione nie tylko w gablotach, ale i w plenerze, w ogrodzie. Mówi się, że zbiór jędrzejowskich zegarów słonecznych to jeden z największych zbiorów

gnomonicznych w Europie.

Nasza kolekcja zegarów słonecznych i przyrządów astronomicznych uchodziła niegdyś za trzecią na świecie (po History of Science Museum, Oxford i Adler Planetarium, Chicago). Dziś to się już prawdopodobnie zmieniło, bo nie prowadzimy regularnych zakupów, tak jak dawniej. Ostatnio kupiliśmy dwa angielskie zegary słoneczne z XVIII i XIX wieku pod koniec 2019 r. Mimo to nasza kolekcja – obejmująca prawie 400 obiektów – jest z pewnością największą w Polsce i jedną z najliczniejszych na świecie. Na terenie Muzeum znajduje się też wyjątkowy Ogród Czasu, powstały według koncepcji Tadeusza Przypkowskiego, gdzie pośród schodów wodnych, ziół leczniczych i symboli związanych z astronomią i astrologią odmierza czas trzynaście zegarów słonecznych różnych typów, starych i nowych.

W 2019 r. otrzymali Państwo dotację na zdigitalizowanie 17 600 fotografii, autorstwa zarówno Feliksa, jak i Tadeusza Przypkowskich. Warto wspomnieć, że Tadeusz Przypkowski miał przed wojną wiele wystaw fotograficznych w Europie. Dla niektórych negatywów, to już ostatni dzwonek, żeby je zachować. Proszę powiedzieć jaką tematykę obejmuje ten fotograficzny zbiór?

Feliks Przypkowski był jednym z pionierów fotografii w

Jędrzejowie. Na szklanych kliszach uwieczniał obraz miasta z początku XX w., w tym sceny targowe z udziałem Żydów. Jednak zdecydowaną większość stanowią negatywy pozostawione przez Tadeusza. Robił on ogromną ilość zdjęć, z których chyba z większości nigdy nie wykonano odbitek. Pośród nich są oczywiście kadry uwieczniające życie rodzinne, jednak najwięcej jest zdjęć dokumentujących jego liczne podróże, w tym unikalne dziś przedwojenne widoki miast: Warszawy, Krakowa czy Wilna. Zdjęcia Tadeusza Przypkowskiego powstawały w latach około 1930-1960, więc materiał ilustracyjny jest ogromny i bardzo różnorodny.

Podczas pandemii otrzymali też Państwo niezwykle dar - kolekcję aparatów fotograficznych zbieranych latami przez pana Kazimierza Koziola, spod Tarnowa. Czy te aparaty są na tyle ciekawe pod względem historycznym, że włączycie je Państwo do zbiorów Muzeum?

Tak, to bardzo ciekawa kolekcja, która obejmuje sprzęt fotograficzny z lat 20.-90. XX w. Są to głównie sprzęty amerykańskich producentów (Kazimierz Koziół długo przebywał i pracował w Stanach Zjednoczonych). Znajdują się w niej zabytki z lat 20.-30. XX w., ale też np. liczne aparaty typu Polaroid z lat 40. Na pewno do „highlight’ów” zbioru należą najstarsze aparaty z lat 20. XX w., czy wielkoformatowy, mieszkowy aparat Graflex - swego czasu podstawowy sprzęt fotoreporterów prasowych.

Warte odnotowania są też liczne aparaty dla amatorów z lat 50.-60. XX w. – często w oryginalnych opakowaniach, wraz z instrukcjami i dodatkowymi akcesoriami. Są to szczególnie unikalne obiekty, bo takie rzeczy, jak opakowania, a i same aparaty amatorskie – z reguły szybko się wyrzuca. Oprócz tego jest kilka kamer filmowych oraz liczne sprzęty dodatkowe – lampy błyskowe, światłomierze, dalmierze i inne akcesoria. Większość zbioru z przyjemnością przyjmiemy do naszego Muzeum, bo wraz z zabytkowym sprzętem fotograficznym Feliksa i Tadeusza Przypkowskich stworzą one zbiór, który już może być podstawą sensownej wystawy o historii fotografii. Ponieważ jednak w podarowanej nam kolekcji jest sporo egzemplarzy, które się powtarzają (np. ok. 20 sztuk aparatów typu Kodak Brownie), część przyjmie Jędrzejowskie Centrum Kultury i stworzy z tego małą, stałą ekspozycję edukacyjną.

Ma Pan dwóch synów. Czy też myśli pan o przyszłości dla nich w Jędrzejowie?

Nie chcę ich do niczego zmuszać, aczkolwiek byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby przynajmniej jeden z nich zdecydował się kontynuować rodzinną tradycję.

Jest coś niezwykłego w tym, że może się pracować w miejscu, które budowali dziadek i pradziadek, że stoi się na straży kolekcjonowanych od lat eksponatów, że się

ekspozycję rozwija i dzieli wiedzą z innymi.

Mam to poczucie i przyznam się, że dodaje mi ono skrzydeł.



G A L E R I A

Muzeum im. Przypkowskich w Jędrzejowie, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka





Obserwatorium astronomiczne Feliksa Przytkowskiego



Ogród Czasu







Gabinet Feliksa Przykowskiego









Biblioteka



Tadeusz Przypkowski





















PAŃSTWOWE MUZEUM im. PRZYPKOWSKICH w Jędrzejowie

pl. Kościuszki 7/8, 28-300 Jędrzejów

tel. (0-41) 386-24-45, fax. (0-41) 386-54-89

e-mail: muzeumprzypkowskich@o2.pl

www.muzeum.jedrzejow.pl

Źródła:

Wikipedia, www.zabytki.pl

Z rodzinnego albumu.
Najdłuższe wakacje.



Teresa Fabijańska, maturzystka, 1951 r., fot. arch. autorki

Teresa Fabijańska-Zurawska (*Łańcut*)

Spoglądam wstecz z perspektywy pięćdziesięciu pięciu już lat na ostatni rok szkoły średniej ogólnokształcącej i okres ten jawi mi się ponuro. Im bliżej matury, tym gorzej. Pierwsze dwa lata były normalne: pierwsza i druga klasa gimnazjalna z programem opartym na przedwojennym. W trzecim roku znalazłam się nagle w klasie dziewiątej, bo właśnie wprowadzono zreformowaną po sowiecku jedenastolatkę. Żeby rachunek się zgadzał, mój rocznik repetował drugą klasę, młodsze koleżanki tymczasem nas dopędziły. W rezultacie ja uczyłam się 12 lat łącznie ze szkołą

podstawową, a roczniki młodsze tylko 10. Wszystko było postawione na głowie. Historię zaczynałyśmy trzy razy od Piastów i nigdy nie dojechałyśmy do rozbiorów. Historyczka była z przypadku lub po linii partii, bo ograniczała się do dyktowania nam konspektu narzuconego przez kuratorium czy ministerstwo. To były same hasła w telegraficznym skrócie brzmiące dla nas podobnie, jak zaklęcia. Jakże zazdrościłam bratu Juliuszowi, który miał szczęście być uczniem prof. Michała Pieszki, wspominanego już przeze mnie wcześniej, znakomitego pedagoga i znawcy pasjonującej historii i geografii. On uczył chłopców bez podręczników, ale za to jak!

Szkoła średnia to taki okres w życiu młodego człowieka kiedy chłonie się to, co podane w sposób atrakcyjny i odrzuca wszelkie nudy, choćby najmądrzejsze. Dużo zależy od pedagoga – porwie, zapali do przedmiotu, czy zohydzi. Ja musiałam później uczyć się historii sama. Zresztą uczę się jej z pasją po dzień dzisiejszy. Dwa tygodnie przed maturą wyznaczono nam obowiązkowy egzamin z pięciu przedmiotów tzw. Wszechnicy Radiowej. Kto miał czas tego słuchać? – Audycje nadawane przez kołchoźniki – czyli głośniki radiowe, były nudnymi, suchymi wykładami o kierunku ideologii marksistowskiej, z przekreślonymi faktami i zafałszowaną interpretacją, a do tego nadawano je w godzinach, gdy normalni ludzie jeszcze śpią. Do każdego przedmiotu były skrypty, których nie dało się czytać. Papier gorszy od ówczesnego gazetowego, szaro-brudny i nieczytelne odbitki z

powielaczy denaturatowych. W dodatku na wagę złota. Zbierałyśmy się więc grupkami w prywatnych domach. U Alisi (Alicji) Treflerówny, gdzie w kwietniu było pioruńsko zimno, u Heli Zawrotniak – strasznie daleko, u Heni Walewskiej lub u Lalki (Ireny) Szomańskiej, gdzie było najmilej. Zawsze gościnny dom z nianią, coś smacznego i kochająca mama. Pewnie uczyłyśmy się i u mnie, ale jakoś tego nie pamiętam. Sześć zaprzyjaźnionych maturzystek. Po tym niewątpliwym stresie, przygotowywałyśmy się już inaczej i do innych przedmiotów bardzo intensywnie, bo czas nam się skrócił.

Do lęku o wiedzę w głowie doszedł strach przed „czynnikiem społecznym”, czyli osobą spoza szkoły, która zasiadała w komisji z ramienia partii politycznej, oceniała uczennicę i miała prawo zadawać pytania z ideologii marksistowskiej – komunistycznej. Małe potknięcie dyskwalifikowało maturzystkę. Pamiętam swój egzamin, podczas którego byłam tak spięta, że mój mózg przestał myśleć. Na pytanie zadane przez bardzo swobodnego zetempowca (organizacja młodzieży komunistycznej – ZMP – Związek Młodzieży Polskiej) „czy społeczeństwo ZSRR jest klasowe?” – odpowiedziałam gorąco – skądże!” I otrzymałam długie pouczenie, którego esencję zrozumiałam, że na tym etapie jeszcze jest podział klasowy, ale w przyszłości... Nie umiałam wyobrazić sobie tej przyszłości. Wszak uczono nas o możliwości odwrócenia biegu rzek syberyjskich (ciekawe, że ta bzdura przetrwała aż do Putina, który ogłosił oficjalnie odstępnie od

tego planu). Głoszono nam oczywiście zwycięstwo człowieka radzieckiego nad Ziemią i Kosmosem. Mnóstwo innych rzeczy niemożliwych. Co jednak można zrobić z mózgiem młodego, rozwijającego się człowieka. Tyłu uwierzyło i służyło!

Do szkolnego okresu w Zamościu muszę dodać coś, czego nie da się zapomnieć. Były to roboty „kołchozowe” zamiast lekcji. Kilka dniówek w roku w porze jesiennej. Wożono nas, dziewczęta otwartymi przyczepami za traktorem lub ciężarówkami do kartofli czy buraków. Państwowe Gospodarstwo Rolne w Jarosławcu odległym o 15 km od Zamościa na wschód, miało wyjątkowo trudne warunki i ciężkie prace np. obdzieranie buraków z liści rękoma w szczerym polu przez 8 godzin z przerwą na posiłek. Łatwiej już wyłuskiwało się kaczany kukurydzy, a najtrudniejsze było zbieranie z pola ziemniaków za koparką. Ziemia tam ciężka, błotnista, przyczepna. Zawsze wypadła listopadowa aura, której błotne skutki dawało się pokonać tylko w specjalnych gumiakach i w spodniach. Takiej odzieży nie miałyśmy, więc marzłyśmy okropnie. Niszczyłyśmy i tak z trudem zdobyte buty. W nagrodę czekał nas w robotniczej stołówce gorący posiłek – gęsta zupa grochowa z różnymi dodatkami (wsadem mięsnym!) i z chlebem do woli. Nigdy w życiu takiego apetytu nie miałam, a smak wybornej grochówki na wędzonce do dzisiaj pamiętam.

Poznając trud pracy robotnika i chłopa lekko przenosiłyśmy się w świat artystyczny biorąc udział w szkolnych przedstawieniach na scenie „Stylowego” i w auli gimnazjum męskiego.

„Stylowy” to wspaniały gmach dawnego kościoła i klasztoru oo. franciszkanów z poł. XVII w., który przetrwał do 1817 r. mimo kasacji zakonu przez zaborcze władze Austrii, po czym został przeznaczony na magazyn wojskowy z tym, że zabudowania klasztorne i piękną, osiemnastowieczną dzwonnice rozebrano. Sam kościół przerobiono na koszary. Za wolnej Polski w 1918 r. pomieszczono w tym gmachu Sejmik Powiatowy i Dom Ludowy Polskiej Macierzy Szkolnej. Wnętrze środkowe – nawę kościoła adaptowano na kino-teatr. Tutaj też przed wojną znajdowało się pierwsze, małe muzeum regionalne, po wojnie Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w części zachodniej, a sala duża, przestronna z kuluarami, sceną i obubocznym *foyer* służyła społeczeństwu miasta na wszystkie imprezy kulturalne. Tak było do lat dziewięćdziesiątych, gdy o gmach upomnieli się bezprawnie usunięci oo. franciszkanie i go odzyskali. Dzisiaj jest tam kościół. Dla mnie był to szok. Raz byłam tam wewnątrz i nie mogłam się modlić. Przypomniała mi się pantomima J. Bayera „Wieszczka lalek” i „Laleczka z saskiej porcelany” Anny Dąbrowskiej reżyserowane przez p. Reginę Cieślakową. A w tytułowej roli Danusia Kuraho-Skraho, utalentowana wokalnie i choreograficznie, miękka jak guma i zręczna, jak primabalerina. Byłam markizą w różowej krynolinie i jasnej peruce (ja, czarna z

natury) z francuskimi loczkami, zupełnie odmieniona. Tańczyliśmy gawota i menueta w cztery pary, same dziewczęta. Moim chłopcem była Lalka (Irena) Szomańska nieco wyższa i smukła. „Ach, co za gracia, jaki wdzięk!” – śpiewał chór. „Kaida z nich inna tuualetta, parole d’honneur, to jak we śnie...”.

Normalnie „Stylowy” był kinem i chodziło się na wszystkie ciekawsze filmy oraz na obowiązkowe koncerty „Artosu” w ramach wychowania muzycznego. Pamiętam, kiedyś wyświetlano „Halkę” wg. Moniuszki i film ten był dozwolony od lat 18-tu. Żeby kupić bilety trzeba było okazać legitymację, kasa młodszym nie sprzedawała. Podrobiłyśmy więc legitymacje, na szczęście ważność ich już się kończyła. Nie wolno nam było chodzić na ostatni seans o 20-ej. Spotkana na ulicy młodzież mogła być legitymowana, a konsekwencje wynikające z odebrania legitymacji i oddania jej do Dyrekcji szkoły nie rokowały niczego miłego. Dzisiaj wydaje się to policyjnym rygorem, jednak nie było nam z tym źle, a ileż bezpieczniej. Szkoda, że zostało to zniweczone ułudą źle pojętego słowa „wolność”, „luz”. Zdeprawowano młodzież, dobre zamieniając złem.



Dwie maturzystki, Teresa Fabijańska (z lewej) z Lalką (Ireną) Szomańską w parku w Zamościu, 1951 r., fot. arch. autorki

Do szkoły chodziłam pieszo ok. 2 km w jedną stronę, ale ja tę drogę pokonywałam dwa lub trzy razy dziennie: na 8-mą, zawsze jednakowo, na lekcje i powrót ok. 14-ej do 15-ej na obiad zawsze rodzinny, zawsze przygotowany przez kochającą mamę i spożywany bez pośpiechu, w dobrej atmosferze przyjacielskiej rozmowy z rodzicami. Potem biegłam na popołudniowe zbiórki harcerskie, próby przedstawień lub zebrania Koła Zainteresowań, które ktoś mądrze wymyślił dla rozwoju intelektualnego bardziej indywidualnego, świetne *antidotum* na coraz brutalniej i wszechobecnie ingerującą w życie szkoły i poszczególnych uczennic politykę. Koła te miały różny profil, ale zdecydowanie dominował kierunek humanistyczny. Należałam do Koła Filozofów. Pierwszy referat, jaki sama wymyśliłam i napisałam, nosił tytuł „Duch grupy” – bardzo interesujące pojęcie *stricte* filozoficzne. Nieco później założyłam Koło Miłośników Słowackiego dla przeciwwagi założonemu w liceum męskim Kołu Miłośników Mickiewicza. Rozpoczęła się szlachetna rywalizacja, bo poprzez wiedzę wyczytaną i napisaną udowadnialiśmy, który z wieszczów był większy dla narodu polskiego. W ruch poszły opracowania prof. Kleinera, Chrzanowskiego i świeżo wydanego Jastruna. Długie cytaty z dzieł obu poetów służyły do podtrzymania stanowiska. Myślę, że wiele nam to dało, poszerzyło horyzonty. Wszystkie dzieła Juliusza Słowackiego były w domu, uratowane przez Witka przed spaleniem na stosie w Hrubieszowie na początku wojny. Tak Niemcy niszczyli polską kulturę. Cała Miejska Biblioteka poszła na stos.

Gdy przyszedł maj i czerwiec biegałam jeszcze na wieczorne nabożeństwa do św. Katarzyny. Skąd brałam tyle energii? – nie było czasu na odpoczynek, polegiwanie z książką w ręku. Tę zawsze brałam, gdy kładłam się spać i po paru stronicach słodko zasypiałam. Przez to bieganie kilometrami za mało czytałam literatury pięknej. Ledwie nadążałam z lekturami, a że te były dobrane tendencyjnie, odrzucałam je już z góry uważając, że nie są warte mojego czasu. „Opowieść o prawdziwym człowieku”, „Matka” Gorkiego, „Dziewczęta z Nowolipek”, „Grypa szaleje w Naprawie” – prześlizgnęły się przez mój umysł, jak dopust Boży. Nic z nich, prócz tytułów, nie pamiętam. Jedyne wolne dni w tygodniu to niedziela, którą zaczynałam mszą św. w kościele szkolnym, potem tradycyjny spacer ulicą Akademicką, spacer po parku z koleżankami, czasem i z kolegami. Pamiętkowe fotografowanie, dużo śmiechu, błyskotliwe, mądre rozmowy i powrót do domu na obiad. Po południu spotkania towarzyskie u koleżanek i wczesnym wieczorem byłam już w domu. Kiedy odrabiałam lekcje; nie pamiętam. A przecież dawałam korepetycje z języka polskiego i z francuskiego młodszym koleżankom. Nawet zdarzyła mi się nagroda od rodziców moich „uczennic” w postaci pieniędzy, słodczy, czy kwiatów. Te pieniądze były pierwszymi zarobionymi przeze mnie cierpliwością.

Matura jakoś przeszła. Pierwszy w życiu bal do świtu w upalny czerwiec 1951 r. pamiętam, jakby to było wczoraj. Miałam nową

i najmodniejszą sukienkę z białej żorżety w drobne, czerwone kropki. Przedłużony, dopasowany karczek, wycięcie w *caro*, dół szeroki, marszczony na biodrach z wypuszczoną riuszką, małe bufki. Czułam się świetnie, bawiłam nieźle i o wschodzie słońca odprowadzana przez swojego „obtupywacza” Rucia – Henryka Jakubca, podziwiając zjawiskowe o tej porze dnia niebo, szłam ku nowej, wierzyłam, że świetlanej przyszłości.

Chciałam studiować geografię na lubelskim UMCS-ie (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej). Wypełniłam papiery, oddałam do sekretariatu szkoły, skąd miały być przesłane na uniwersytet. Taka wtedy była procedura. Sądzę, że jednak nigdy nie ujrzały dziennego światła, a tym bardziej w Lublinie. Miałam przecież opinię „czarnej reakcji” i twierdzy nie do zdobycia. I to była prawda. Nawet nie próbowano mnie podchodzić, co czyniono z innymi koleżankami, które nie były zetempówkami. Nie byłam dla nich nic warta. Wiedziałam o tym, czułam to i postanowiłam iść na historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Była tam już Ela, moja siostra na polonistyce, właśnie kończyła studia i był brat Julek na prawie. W ten sposób zagrałam na nosie Dance T., od której opinii składanej na piśmie zależał los nie jednej z nas. Wyobrażam sobie jaką opinię miałam ja, jej była przyjaciółka, z którą rozstała się z powodu politycznego. Nigdy nie zapomnę tego dramatu, jaki rozegrał się

między nami w pewien zimowy dzień po feriach świątecznych, gdy zziębnięte na kość podpierałyśmy gorący, ogromny piec na korytarzu szkolnym, przeraźliwie ponurym, jakby zaplanowaną scenerią do naszej rozmowy. Danka właśnie wróciła z obozu ZMP z Lublina i z entuzjazmem, na jaki tylko ją było stać, opowiadała o wspaniałych ludziach – ideowcach komunistycznych, którzy przebudują świat na lepszy, bez religii, bez księży i kościołów, bo to jest „opium dla ludu”. Życzyła mi, abym przejrzała na oczy i poszła w jej ślady. Ona chce jechać na studia do Moskwy i zostać wielkim człowiekiem. A ja płacząc, szlochając powiedziałam tylko jedno zdanie: Danko, to koniec naszej przyjaźni, nie będę z tobą siedzieć w jednej ławce ani jednej chwili dłużej. I tak się stało już na zawsze.

Co stało się z tą śliczną, hożą polską dziewczyną, niezwykle uzdolnioną? – A no zdała świetnie maturę, wyjechała do Moskwy. Studiowała chemię na Uniwersytecie Łomonosowa. Tam zakochała się w koledze, Rosjaninie i musiała się z nim rozstać, ponieważ Rosjanom nie wolno było żenić się z cudzoziemkami, a może tylko z Polkami. Tego nie wiem dokładnie. W każdym razie przeżyła dramat i rozczarowanie, bo chłopiec rozpułnął się jak we mgle. Przeżyła wstrząs, gdy zmarł jej bóg Stalin. A co musiało się dziać w jej ideologicznym wnętrzu, gdy za chwilę okazało się, że to największy zbrodniarz w całym, komunistycznym molochu, jakim był wtedy ZSRR. Wyrzucono go z mauzoleum – przepięknego, modernistycznego, marmurowego grobowca Leni-

na, pod którym stały najdłuższe kolejki świata, by przez moment spojrzeć na oblicze tego, który świat przewrócił do góry nogami. Stalin został początkowo umieszczony obok Lenina i było dwóch bogów do oglądania, ale po odbrązowieniu pochowano go cichutko pod murem Kremla pod czarną, granitową płytą, na której napisano jedynie: Josip Wisarionowicz Stalin i lata życia. Tyle. I nie ma już tutaj ogonka chętnych do oddania czci. Lenin wiecznie żywy.

Co ta Danka musiała tam przeżyć, ona taka płonąca żagiew. Nigdy nie zazdrościłam jej sukcesów w szkole, chociaż trochę rywalizowałyśmy wcześniej, za czasów harcerskich, gdy była gorliwą katoliczką, żeby nie powiedzieć bigotką, i zapaloną harcerką. Wszak składałyśmy przyrzeczenie harcerskie na Boga i honor Ojczyzny. No, ale jeśli się zamienia Boga na bóstwo, to w środku chyba wali się wszystko. Współczuję jej .

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

*

Poprzednie części wspomnień:

Pierwsze lata po wojnie - Academia Zamoscensis

Powrót ojca z niewoli

Zobacz też:

Historia w karetach zaklęta

Polskie siedziby
rodzinne. Moroczyn.



Ruiny zespołu dworskiego rodziny Chrzanowskich, herbu Poraj, z XIX w. w Moroczynie, pow. Hrubieszów. Dwór był parterowy, murowany. W latach 1900-1905 przebudowano go, nadając mu nową szatę zewnętrzną: przykryto czterospadowym dachem i otoczono rzadko stosowaną, niezwykle ozdobną attyką balustradową. Na froncie dominował portyk o czterech kolumnach (zachowały się tylko trzy). W czasie II wojny światowej ograbiony z mebli i dzieł sztuki. W pobliżu był park podworski ze stawem, fot. Ar2rek, wikimedia commons

Niedawno, szukając informacji do artykułu, sięgnęłam do swojego „kuferka” z różnymi papierami z Polski i znalazłam list do mnie, z czasów, kiedy byłam jeszcze studentką, od prof. Tadeusza Chrzanowskiego, wybitnego

historyka sztuki, przez wiele lat związanego z KUL-em, wraz z dołączonym do niego tekstem o rodzinnym Moroczynie. Przeczytałam go z uwagą, nie pamiętałam go. Dwór polski stanowi ważny element polskiej kultury i tradycji, który wpisuje się w polską obyczajowość. Niestety przez wiele lat obiekty dworskie, pozbawione gospodarza popadały w ruinę, a niektóre uległy całkowitemu zniszczeniu. I to nie działo się tylko podczas działań wojennych, ale i wiele lat po wojnie, za rządów komunistycznych, a także potem, niemalże na naszych oczach. Uratujmy więc choć niematerialną część naszej historii - pamięć. (red. Joanna Sokołowska-Gwizdka).

Tadeusz Chrzanowski (1926-2006)

Nie urodziłem się w tym dworze, o którym chcę mówić, bowiem urodziłem się w Krakowie, co mi co nieco w życiu pomogło, ale i zaszkodziło niemało. W rzeczonym dworze mieszkałem niezbyt długo – w sumie nie całe 17 lat. Mój ojciec też się tam nie urodził, ani przez całe życie przemieszkował, bowiem doszedłszy do pełnoletności i wstąpiwszy w związki małżeńskie osiadł w innym zupełnie dworze, a nawet poniekąd pałacu, który nabył mój dziad. Tylko że potem przyszła pierwsza wojna światowa i taktyka spalonej ziemi, zastosowana przez cofającą się armię carską, więc ów pałac w Dorohusku nad Bugiem został spalony, a gdy po wojennej tułaczce rodzina wreszcie powróciła w strony

rodzinne, to nie było możliwości i środków na odbudowę. Ruiny pałacu i folwark ojciec sprzedał, a osiadł w Moroczynie, bowiem ten z wojennych tarapatów jakimś cudem ocalał.

Nie będę więc mówił o gnieździe rodzinnym, tylko o domu, folwarku, o budynkach, drzewach, założeniach ogrodowych, o stawach i łąkach, o drogach i tak w ogóle o wszystkim, co pamiętam i co mi się we wspomnieniach układa w pewną całość tak, już dziś niewiarygodną, jakby istniała na kartach XIX-wiecznych pamiątek, a nie w wieku XX, niemal w samym środku ówczesnej II Rzeczypospolitej. Więc chociaż nie o gnieździe, ale o czymś prastarym i prehistorycznym nieomal, a jednocześnie tak realnym, to we śnie i na jawie potrafię rozpoznać każdy zakos ścieżki, dziuplę i furtkę. Czyli, że będę mówił z nutą sentymentu i sądzę, że tak mi mówić wolno, jakkolwiek tamten świat uważam za całkowicie miniony i nie chciałbym ani nie potrafiłbym już doń na jawie powrócić. Po wojnie raz jeden próbowałem – nie tyle powrotu, co konfrontacji. I tego mi starczy na resztę dni moich. Są sprawy nieodwracalne i nie trzeba z tego powodu ani patetyzować, ani rozpaczać. Ale wolno sobie pozwolić na odrobinę sentymentu, który stoi poza osądami i poza rzeczywistością. A więc na sentyment „sine ira et studio”.

To „studio” nie jest zresztą w tym konkretnym przypadku możliwe. Kiedy 20 czy 21 września 1939 r. w wyniku nagłej

decyzji rodziców opuściliśmy nocą dom, w pośpiechu i rozgardiaszu zaginęły papiery rodzinne – dokumenty i zapisy. Zostałem bez historii rodziny, bowiem ojca nie zdołałem już nigdy skłonić do jakichkolwiek prób rekonstrukcji. Byłaby to zresztą rekonstrukcja wątpliwa, gdyż pamięciowa. A więc jedyne co wiem, to fakt, że moja rodzina „po mieczu” była w tych okolicach zasiedziała, ale właśnie nie w tym domu, gdzie spędziłem dzieciństwo i pierwszą młodość, ale bardziej na południe – w rejonie Kryłowa. Początkowo szlachta średnio-zamożna, zaczęła robić w ubiegłym stuleciu karierę ekonomiczną. Apogeum osiągnął dziadek Edward, którego pamiętam już tylko z wielkiego, zniszczonego w 1939 r. portretu i z kilku zdjęć. Spogląda z nich szczupły pan o ostrych rysach i spokojnym, ale niewesołym spojrzeniu. Był ponoć w miarę surowy, ale dzieci kochały i jego, i matkę – Marię z Kicińskich, z domieszką uwielbienia. Był człowiekiem solidnym, dobrym gospodarzem i miał umiejętność powiększania dóbr. Skupił w swych rękach przed I wojną światową bardzo rozległy klucz, do czego przyczyniły się też bezpotomne śmierci jego braci i dalszych krewnych. I właśnie dom mego dzieciństwa należał do mego stryjecznego dziada, który – nie pozostawiwszy spadkobierców zapisał go bratu. Oczywiście po I wojnie światowej nastąpiły radykalne zmiany w stanie posiadania: trzeba było sprzedać część wyniszczonych folwarków, a poza tym schedę rozdzielić między jedyne go syna – mego ojca – i jego dwie siostry. Ale i tak nie było to mało, skoro w rękach ojca pozostawały – poza domem i folwarkiem

Moroczyn, jeszcze i dalsze folwarki: Teptiuków, Ciołki, Kobło, Kopywłów, Siewrszczów, nie licząc drobniejszych.

O samym Moroczynie też niemal niczego nie wiem z dawniejszych dziejów, poza tym, że był to niegdyś folwark klucza starostwa hrubieszowskiego, czy jak je niegdyś nazywano – rubieszowskiego. Dwór, bo był to duży dwór, chociaż miejscowi mówili „pałac”, powstał w swym obecnie wciąż jeszcze wegetującym kształcie na przełomie XIX i XX wieku. Działał wówczas w tych okolicach architekt Stanisław Czachórski, brat znanego malarza – portrecisty strojnych dam i on to miał dokonać przebudowy. Tak bowiem mówiono w domu: przebudowy i za tym twierdzeniem mogłyby przemawiać bardzo grube mury korpusu głównego, być może pozostałość po dawniejszej budowli. Bowiem taka właśnie starsza budowla istnieć musiała, skoro w otoczeniu domu były budynki zdecydowanie od niego starsze, wyznaczające formę założenia, które musiało istnieć od kilkudziesięciu co najmniej lat, może nawet od stulecia XVIII. W każdym razie to wszystko co mogę powiedzieć o historii. Bardzo tego niewiele, ale proszę mi wierzyć, że historia jest rośliną bardzo kruchą i zanika nieodwracalnie przy każdej okazji – zarówno katastrof, jak i niedbałości.



Ruiny dworu rodziny Chrzanowskich w Moroczynie, fot.

Przemysław nowosad, wikimedia commons

Trzeba jednak bliżej umiejscowić ów dom i jego otoczenie. Położony był, jak to z poprzednich uwag wynikało, w okolicy Hrubieszowa, pół kilometra oddalony od szosy i zarazem od wiecznego traktu, który z tego miasta prowadził ku przeprawie na Bugu, pod Uściługiem, a stamtąd wiódł w głąb Wołynia – na Włodzimierz – Kowel – Krzemieniec. Okolice Hrubieszowa słynne były z niezwykle urodzajnej gleby – tutejsze czarnoziemy rodziły, jak to się powiadało – same, ale w czas przedwiosennych i jesiennych słońc przeobrażały się w nieprzebytą, gęstą i lepkać maź, a w susze wzniecały nieopisane tumany kurzu. Krajobraz był rozległy i nieco nostalgiczny – nie było większych wzniesień tylko bardzo powolne, cierpliwe falowanie. Lasów prawie nie było, parodie lasków, bo ziemia była za dobra by tu drzewa

sadzić; lasy zaczynały się dopiero na pograniczu z chełmskim powiatem. O dwa kilometry od domu płynął Bug. Nad tym Bugiem, w nożycach dopływu jego – Huczwy – wznosiła się „góra zamkowa” – teren powojennych rozległych badań, które starały się zlokalizować nieco przedtem mityczne „grody Czerwieńskie”. Ten pod Gródkiem nazywał się „Wołyń” wspomina o nim Długosz. Natomiast na nadbużnych łąkach w pobliżu Gródka wznosił się stożkowaty kopiec – kurhan, który nosił malowniczą nazwę „księżycowej mogiły”, przy czym nie chodziło o księżyc, ale o księcia i nazwa to miała cechy prawdopodobieństwa. Takich kurhanów było zresztą w okolicy kilka.

Droga, która od szosy odbijała w stronę Moroczyna, biegła potem dalej na Kobło, Kopyłów – ku północy. Stał przy niej samotny budynek i wyznaczał początek założenia dworskiego. Ten budynek był bowiem kuźnią i od niego rozpoczynała się aleja dojazdowa, prowadząca do domu i folwarku. Wieś Moroczyn, bardzo mała, położona była w pewnej jakby izolacji od dworu, oddzielona od folwarku strumykiem i pasem łąk. Pomiedzy dworem a wsią stosunki były niezbyt ożywione, przychodziły stamtąd dziewczyny „na akord” popracować w ogrodzie w okresie żniwnych spiętrzeń, czasem podnajmowało się gospodarzy ze sprzężajem, ale to i wszystko. Stosunki były pół-oficjalne, nie zanadto przyjazne (o ojcu mówiono „proklatyj chrien”), ale i nie wrogie. Bójki pomiędzy synami gospodarzy a synami fornali należały do pewnego rytuału i nie świadczyły o jakiejś wzbierającej agresji.

Na wsi mieszkali zresztą nieliczni prawosławni, większość stanowili katolicy, a wśród mieszkańców folwarku prawosławni stanowili zdecydowaną mniejszość. Bo jednak – im bliższa była katastrofa tamtego świata – tym bardziej wzbierały nacjonalistyczne nienawiści, a świadomość narodowa budowała się na wyznaniu.

Tak więc założenie dworsko-folwarczne było całością oddzielną, odrębną i – stwierdzam tu obiektywnie – zaplanowaną logicznie, a efektownie, w oparciu o tradycyjnie osiowy układ, ale nie trzymając się niewolniczo praw symetrii i budując niejako odrębne elementy nanizane na ową oś.

Jak już wspomniałem od frontu była nią aleja brzostowa (w tamtej epoce brzost był jeszcze w naszym kraju drzewem popularnym – dziś uległ wytruciu i wyniszczeniu). Tak więc od kuźni już widziało się w perspektywie bramę, a przez nią kolumnowy portyk domu. Po lewej było założenie folwarczne, po prawej – osobno – stał spichlerz. Ale na razie główna uwaga skupiała się na temacie centralnym: bramie i dworze. Jedno i drugie posiadało cechy barokowe, jak mi się zdaje dość zmyślnie kombinujące eklektyczne formy, które się wówczas w tej części kraju rozpowszechniły, nie bez wpływu architektury rządowej, ale w tym wypadku wytworzyły oryginalną i dość efektowną całość. Bowiem ani brama, ani dom nie były po prostu neobarokowe, ani eklektyczno-secesyjne, ani nawet nie

zapowiadały tendencji, które miały dopiero stworzyć w przyszłości „styl dworkowy”. Brama była trójdzielna i nie była bramą do „zamykania”, ale właśnie do „otwierania” – nie stanowiła bowiem żadnej przeszkody ze swymi sztuketowo i ażurowo ukształtowanymi wrotami, których zresztą, nigdy nie zamykano, podobnie jak dwóch furt znajdujących się po bokach. Brama spełniała szczególny efekt w dni pogodne wiosenne lub letnie, kiedy to słoneczny kontrast sprawia, że zieleń ciemnieje głęboko, a biel tynku staje się tym migotliwsza. Wówczas brama akcentowała się wyraziście i stwarzała wraz z krótką alejką prowadzącą, od niej ku podjazdowi, scenograficzną obudowę perspektywy na kolumny akcentujące front domu.

Ten dom był właściwie parterowy, chociaż miał pomieszczenia na piętrze, częściowo typu mansardowego, a częściowo w przyczółkowych szczytach bocznych. Cały środek wypełniał obszerny strych. Tak więc wszystkie ważne pomieszczenia znajdowały się na parterze, a na piętrze były tylko mniej ważne, ale za to bardziej intymne pokoje: gościnne, a także dla młodzieży – właśnie moje dzieciństwo upłynęło w jednym z nich, tym od południa.



Ruiny dworu rodziny Chrzanowskich w Moroczynie, fot.

Przemysław Nowosad, Wikimedia Commons

Tak więc korpus stanowił obszerny, prostokąt, przedłużony jeszcze dodatkowo dwoma aneksami dobudowanymi (chyba wtórnie, ale jeszcze nie za mojej pamięci) do skrajnych ścian szczytowych. W tej północnej dobudówce były kuchnia i pachnąca niezwykle smakowitościami spiżarnia, w południowej mieściła się tak zwana kancelaria, gdzie ojciec przyjmował interesantów, a także dwie łazienki, bowiem dom posiadał wodę bieżącą. Bryłę akcentował osiowo umieszczony portyk, a raczej taras wsparty na czterech masywnych kolumnach, obwiedziony tralkową drewnianą balustradą, a dostępny ze strychu. Nie mówiło się nigdy portyk czy kolumnada, mówiło się „podjazd”, bowiem przewidziany był do podjeżdżania

wehikułów pod ową tarasową osłonę, ale w rzeczywistości tego nie stosowano: stały tam ławeczki i bujające fotele – leżaki, natomiast po bokach były dwa krótkie lekko rozchylające się murki zakończone drewnianymi, słupami, na których rosnące dzikie wino wytworzyło z biegiem lat gęsty, wróblami nadziewany gąszcz.

Proste, nawiązujące do uszatyh obramienia okien, kostkowe gzymsy, a przede wszystkim wystawki piętra, potraktowane najozdobniej, ze spływami, słupkami i segmentowymi przyczółkami, określały formę tej architektury, która była w sposób oczywisty prowincjonalna i równie oczywiście oryginalna w owej swojskości. Jestem przekonany, że ani architekt nie reprezentował wysublimowanej tendencji nowatorskiej, ani mecenas tego nie chciał, ale ostatecznie o formie zdecydowała ręka i „wiedza” lokalnego muratora, który tak stawiał, jak potrafił i tak zdobił, jak życzył sobie tego on sam i jego mocodawca.

Łączyła się tu w sposób naturalny tradycja z pewnymi elementami nowatorskimi: ów taras wspierał się na stropach Kleina, ale dach był nadal, jak przez cały miniony wiek, dachem naczółkowym. I zarazem to śmieszna tendencja zdobnicza: na owym dachu, pomiędzy wystawkami wstawione były odcinki balustrady, analogicznej jak na tarasie. Pamiętam jak stolarz, który miał swą pracownię na folwarku, toczył te tralki na tokarni,

podobnie jak toczył na niej dzwona do kół wozów.

Od strony ogrodowej był także taras, ale z uwagi na spadek terenu, był na wysokości parteru i schodził w dół monumentalnymi schodami, w które – pośrodku – wstępował półkolistym „belwederem”. Widok stamtąd był bowiem ładny: w tym płaskim terenie tu jedynie występował nieco wyrazistszy stok, opadający ku stawowi, który był zasilany przez potok czy też bezimienną rzeczkę przyływającą z łąk od strony Dziekanowa. Za tym stawem wznosiła się ściana parku, który rozpadał się na dwie strefy: pierwsza – leżąca bezpośrednio za stawem – była regularnym założeniem przede wszystkim grabowym z centralną aleją główną i równoległym do niej, przebiegającym wzdłuż północnego skraju strzyżonym szpalerem. Druga część, znacznie szersza, była pozostałością niegdysiejszego lasu i obejmowała kilka bardzo sędziwych, imponujących okazów dębów. W obramieniu – od strony stawu, było nieco brzoź i wierzb, od południa świerkowa ściana. W prostokącie między bliższą i dalszą częścią parku mieścił się ogród warzywny od południa, a od północy stał samotny, mieszkalny budynek, zwany – nie wiedzieć czemu – „Majdanem”. Czyżby wyznaczał inne, dawniejsze położenie folwarku? Był murowany, masywny, podpiwniczony i nakryty, jak niemal wszystkie tu budynki, gontowym dachem naczółkowym. Wyglądał bardzo sędziwie, a jego osamotnienie było dość niezwykle. Ale pamiętam go pamięcią chłopca: gdy tam byłem w

latach sześćdziesiątych po „Majdanie” pozostało tylko kłębowski pokrzyw.

Przejście z domu do parku dwiema obrzeżonymi drzewami alejkami, umożliwiały – po obu krańcach – dwa mostki, zwane popularnie „garbatymi”, Jakież przyćmione echa japońskich tendencji przejmowanych przez Europę w sztuce ogrodów, łączyły się harmonijnie z fantazją cieśli, którzy balustrady wykonywali z nie okorowanych gałęzi brzozowych.

To była reprezentacyjno-widokowa część założenia, ku południowi przedłużała się częściowo odrzewionym kanałem łączącym staw przed domem z drugim stawem, który był rezerwuarem ryb, energii dla stojącego tu młyna, z turbiną wytwarzającą energię elektryczną, a także – dzięki gliniastej konsystencji dna – ulubionym miejscem kąpieli w dni upalne. Obok tego stawu była wyjątkowo wysoka i gwałtownie urywająca się, również gliniasta szkarpa, w której istniała wyrwa, a w niej jakieś metalowe resztki i gruz ceglany. Nazywano to miejsce „starą cegielnią” i sądzę, że funkcjonowała ona w czasie „fabryki” dworu, bowiem przy wszystkich unowocześnieniach, przy tej bieżącej wodzie i elektryczności, wszystko tu miało charakter zamkniętej samowystarczającej gospodarki. Gdy trzeba było zmieniać pokrycia dachowe, to na jakiś czas instalował się warsztat strugania gontów i wytwarzano je wówczas masowo i „na zapas”. Czasowo pracowały też warsztaty

rymarski i powroźniczy, stale natomiast stolarski, kuźnia, młyn. Tkano też płótno lniane na worki i letni przyodziewek, a długie pasma rozkładano w dni słoneczne na łące i na trawniku nad stawem, gdzie się w słońcu bieliły.

Powróćmy jednak do dworu. Towarzyszyły mu bezpośrednio zabudowania o częściowo gospodarczym przeznaczeniu. Od południa stała oficyna, która była niewątpliwie starsza od dworu w jego ostatecznej „czachórskiej” formie. Połączenie skromnych cech klasycystycznych i neogotyckich było charakterystyczne na tych terenach dla połowy XIX wieku i wówczas chyba zbudowano ten niemal kwadratowy, piętrowy budynek. Od frontu był tu wysunięty okap, osłaniający schody i podest prowadzący na to piętro, na którym były letnie pokoje gościnne. Na parterze były pomieszczenia warsztatowe – rymarski np., a od tyłu do oficyny przylegał parterowy, wydłużony budynek tzw. „piekarni”, mieszczący rzeczywiście wielki gliniany piec piekarniczy, gdzie białe i pulchne bochny złożone na liściach kapuścianych nabierały złocistej, lekko spękanej faktury. Tu też – na Święta, zwłaszcza Wielkanocne, wykonywano rozmaite smakołyki, a najsilniej w pamięci oczu i podniebienia utkwił mi proces wytwarzania „sękacza”, który rodził się na rożnie z kucharzowego polewania naprzemian żółtawym ciastem mlecznym, to znów brązowym – czekoladowym.

Pomiędzy oficyną a dworem wytworzył się niewielki placyk,

pośrodku którego był zamontowany kierat. Stróż – „dziadek” Dąbrowski przy pomocy starego, ślepego wałacha codziennie napełniał przy pomocy tego kieratu i pompy zbiornik na wodę na strychu. Gdy ten zbiornik był już pełen, woda zaczynała wyciekać przez jedną z rynien i tworzyła malownicze kałuże, a że „dziadek” był głuchy, więc trzeba było bardzo głośno wołać „dziaaaaadku”, by przestał zataczać wraz z wałachem cierpliwe kręgi.

Za oficyną były jeszcze dalsze budynki gospodarcze: sporty, murowany, zwany drewutnią, królestwo tegoż „dziadka” Dąbrowskiego, ale w gruncie rzeczy było to magazynowe zaplecze szklarni inspektów, którą wokół otaczał mur – nie tyle przed złodziejami, co przed zimnymi humorami aury. To było niżej, przy wejściu do kanału. Wyżej był drewniany kwadratowy budynek bez okien, za to z wysokim namiotowym dachem. Była to tzw. „lodownia”, osłaniająca dość głęboki dół, który się zimą mościło słomą, potem układało cięte na stawie młyńskim kostki lodu, które nakryte grubą kołdrą słomianą, trwały aż do późnej jesieni, pozwalając na chłodzenie różnych artykułów żywnościowych, a w upalne niedziele na wyrabianie lodów. Pomiedzy drewutnią a lodownią była jeszcze spora w szkarpie wydrążona i obmurowana piwnica służąca do przechowywania ziemniaków. A dalej, za płotem, rozciągał się sad i nigdy mi już gruszki, a zwłaszcza jabłka nie smakowały tak bardzo jak te, które sobie tam wedle gustu i pory doбираłem.

Jak wspomniałem od bramy do dworu wiodła kręta alejka przeobrażająca się w kolisty trawnik z kępami róż. Tam, gdzie alejka otwierała się w ów kolisty podjazd, stała maciupeńka i skromna domkowa kapliczka, przed którą w majowe wieczory mama intonowała, a kobiety z folwarku wyciągały piskliwymi głosami pieśni i „litanije”.



Ruiny dworu rodziny Chrzanowskich w Moroczynie, fot.

Przemysław nowosad, wikimedia commons

Na lewo, poza kurtyną drzew, stał parterowy ale na wysokich piwnicach murowany spichlerz, mieszczący drugą kondygnację

strychową, w obszernym, oczywiście naczółkowym i gontowym dachu. Wydawał się bardzo starożytny i bardzo solidny, ale i on się zawalił. Pod domem nie było właściwie piwnic, tylko „nowoczesne” sutereny o stropach Kleina. Pod spichrzem piwnice były rzeczywiście przepastne, sklepione kolebkowo, pachnące jabłkami i przechowywanymi tu na zimę warzywami.

Na prawo od podjazdu rozciągał się folwark. Najpierw, zaraz za bramą, wzdłuż drogi stały dwa drewniane czworaki, gdzie mieszkały rodziny fornali. Przed wojną ojciec rozpoczął budowę nowego czworaku, ceglanego, więc jeden z tamtych zburzono. Ciekawostka: temu nowemu nadano formę całkowicie tradycyjną – miał podziały ramowe i ów nieodzowny dach naczółkowy, a że gontem kryty to oczywiste – był bowiem wówczas pokryciem najtańszym, produkowanym we własnym zakresie. Właściwy dziedziniec rozciągał się obszernie w bok od bramy. U wejścia na słupie wisiał stary lemiesz, na którym gumieny odstukiwał godziny pracy, a w zakolu, bliżej domu, znajdowała się studnia, drewniana – łącznie z ocembrowaniem i nakryta dachem namiotowym na słupach, który osłaniał kołowrót obracany wielkim kołem. Obok było koryto drążone w połowie pnia dość sporego drzewa, bo tu pojono bydło i konie.

Dziedziniec zamykał parawanowo mur uformowany rytmicznie przysadzistymi półkolumnami i mieszczącymi pośrodku bramę utworzoną z dwu cylindrycznych, ogzymsowanych słupów

zwieńczonych piramidkami. Mur ten spinał dwa budynki: stajni od wschodu i obory od zachodu – długich murowanych budynków z podziałami ramowymi i gontowymi dachami, z koślawymi wystawkami. Wewnętrzne gumno, bezcenne składowisko gnojówki i nawozu, zamykał wreszcie od południa budynek stodoły.

I – poza pomniejszych budyneczkami – kurników, chlewów, wiat itd. nie było już nic więcej, tylko ta rozległa, nostalgiczna panorama pól. Uprawiało się je tradycyjnie, przede wszystkim siłą koni, stąd tak obszerne stajnie, a ponadto majątek specjalizował się w hodowli koni dla wojska – tak zwanych remontów. Ojciec próbował mechanizować rolnictwo, ale możliwości były ograniczone ze względu na właściwości owego hrubieszowskiego czarnoziem: traktor mógł tu pracować tylko w naprawdę suche dni. W pola, do sąsiednich folwarków, jeździło się też przeważnie pojazdami konnymi: bryczką, dwukółką, a gdy było sucho także samochodem – dość już starożytną, ale niezawodną „Chevroletą”. Na wyjazdy do Hrubieszowa, jeśli były „bardziej paradne”, wytaczano z wozowni wolant lub – gdy zagrażał deszcz – powóz z „budą”. W tej wozowni stała jeszcze kareta, ale nie pamiętam by się nią kiedykolwiek posługiwano. Natomiast „park samochodowy” dopełniał potężnych rozmiarów samochód marki Deimler, który służył do dalszych wypraw. Ale te „fumy” nieskutkowały natychmiastowo – kiedy na drogach robiło się błotniście, trzeba było pocziwego Deimlera dociągać

te pół kilometra do szosy koźmi, w związku z czym Europa zaczynała się dopiero w Teptiukowie.

I to byłoby wszystko, co chciałem opowiedzieć i pokazać, celem moim było bowiem podjęcie próby pokazania nie tyle form architektonicznych, ale „sposobu istnienia” folwarku w okolicy, która jeszcze wcale nie należała do Kresów, ale z naszego punktu widzenia zalega już na kresach dającej się pamięciowo osiągnąć historii. Chciałem pokazać rozmaite funkcje i system owej gospodarki zamkniętej, która z folwarku tworzyła jednostkę społecznie i ekonomicznie w pewnym sensie zamkniętą. W dawnej polszczyźnie określenie „dwór” stosowano częściej do tej całości niż do mieszkalnego budynku, który zwano „domem pańskim”. I ta terminologia ujawnia specyficzność tej sielskiej ontologii, która dawną Rzeczypospolitą usiała niezliczonymi gwiazdozbiorami wielkich i małych sąsiedztw. Moroczyn z mej pamięci to już ostatnie echo tej struktury stanowo-gospodarczej. Aże – poza dworem już nic tam z niegdysiejszego zespołu zabudowy nie zostało, więc wydało mi się pożytecznym zrekonstruowanie tej minionej całości. Dodatkowo mogłem przy tym zadość uczynić własnym wspomnieniom i to już moja osobista korzyść.

*

Tadeusz Chrzanowski - historyk sztuki, niestrudzony

**działacz na polu opieki nad zabytkami kultury, eseista,
poeta, fotografik.**

Zobacz też:

Polskie dwory i pałace

Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

Wielkanoc w mirogonowskim dworze

Dwór, w którym zaklęta jest historia

Karp królewski z Bełdowa

Serce Paderewskiego



Ignacy Jan Paderewski przemawia do tłumów, fot. ze zbiorów Culver Pictures, Inc, arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka

Ignacy Jan Paderewski zmarł 29 czerwca 1941 r. w Nowym

Jorku. Właśnie minęła 80-ta rocznica jego śmierci.

Danuta Piątkowska (*Nowy Jork*)

Cieszyłem się swoim powodzeniem. (...) Wiedziałem też, że już pokochałem Amerykę.

Ignacy J. Paderewski, „Pamiętniki”, spisała Mary Lawton, Kraków 1967 r.

*

Po raz ostatni Ignacy Jan Paderewski przyjechał do Ameryki 6 listopada 1940 r. Zatrzymał się, jak zwykle, w hotelu Gotham (przy 5 Alei i 55 Ulicy; dzisiaj nie istnieje), jednak kilka tygodni później przeniósł się do tańszego Buckingham przy 6 Alei i 57 Ulicy. Brakowało pieniędzy.

Pomimo wieku Ignacy Paderewski był bardzo aktywny. Starał się przekonać Amerykanów, by pośpieszyli z wsparciem dla Brytyjczyków. Radiowa sieć Columbia przekazała ten apel 8 grudnia. W trakcie audyencji u prezydenta Franklina D. Roosevelta prosił o interwencję w sprawie Polaków we Francji pod rządami Vichy. Już w listopadzie polonijna prasa weterańska opublikowała odezwę Paderewskiego Do Wychodźstwa, w której

przedstawiał powody swego przyjazdu i nawoływał do ofiarnej pomocy dla Polski.

Uporczywe wysiłki propagandowe i dyplomatyczne przynosiły niewspółmiernie mizerne efekty. W Palm Beach na Florydzie, dokąd Ignacy J. Paderewski wyjechał w styczniu 1941 r., uciekając przed przykrą nowojorską zimą, spotkał się z gen. Władysławem Sikorskim i Stanisławem Mikołajczykiem. Spędzili razem święta wielkanocne, dyskutując nad sposobami uzyskania dla Polski większej pomocy od Ameryki. Sytuacja polityczna komplikowała się jednak. Możliwości sterowania jej rozwojem były mniej niż nikłe w porównaniu do okresu I wojny światowej, kiedy autorytet Paderewskiego sprawił, że dla sprawy polskiej udało mu się pozyskać szereg wpływowych osobistości, wśród nich doradcę prezydenta, płk. Edwarda House'a, a także prezydenta Thomasa W. Wilsona.

Autorytet z tamtych lat i legenda wielkiego wirtuoza nie wystarczały, by sterować zawiłymi meandrami polityki lat 40.

W maju 1941 r. Ignacy J. Paderewski powrócił do Nowego Jorku. Ciągłe czynny wyraźnie tracił jednak siły. Jego siostra Antonina Wilkońska, zaprzyjaźnieni Sylwin i Aniela Strakaczowie odradzali mu wyjazd do Oak Ridge, NJ, gdzie 22 czerwca miał spotkać się z „błękitnymi weteranami”. Czerwiec owego roku był bardzo upalny. Nieprzyjazne, spowite gorącem i wilgocią miasto

zabierało resztki energii starego człowieka. Tymczasem dzień wcześniej Niemcy uderzyli na Związek Radziecki. Całą noc Paderewski w towarzystwie Strakacza, wtedy jego sekretarza i konsula polskiego w Nowym Jorku, słuchał komunikatów radiowych. Następnego dnia, w niedzielę pojechał do Oak Ridge. Wygłosił długą, płomienną mowę.

Świadkiem pamiętnego, nasyconego patriotyzmem, spotkania Paderewskiego z Polonią na polance Zjednoczenia Polsko Narodowego w Oak Ridge był Joseph C. Radzik, policjant polskiego pochodzenia w nowojorskiej policji (NYPD – New York Police Department), wówczas pełniący służbę ochrony Paderewskiego. W liście skierowanym do o. Lucjusza Tyrasińskiego 29 czerwca 1986 r., dniu dedykacji urny z sercem pianisty w Amerykańskiej Częstochowie, wspomniał tamto wydarzenie jako jedno z największych w jego życiu. – *To know him, or to know about him, was to love him. As an American of Polish descent he was a great inspiration to me with regard to my Polish heritage* – refleksyjnie konstatawał Joseph C. Radzik. Stary Mistrz wzruszał polskie serca drżące w zamerykanizowanych generacjach dawnych imigrantów. Te pokolenia utożsamiały się, respektując swoje dziedzictwo, z Ameryką, ale „błękitni weterani” należeli do przeszłości. W zmienionej konstelacji politycznej lat 40. nie mogli być głównymi bohaterami.

Spiekota i emocje towarzyszące spotkaniu na polance w Oak Ridge, zimny napój wypity dla ochłodzenia się, spowodowały katastrofalne następstwa. Rozwinęło się zapalenie płuc. Tydzień trwała nierówna walka. Ignacy Jan Paderewski zmarł w kraju, który pokochał odwzajemnioną miłością, w swoim pokoju hotelowym o godzinie 11:00 rano w niedzielę 29 czerwca 1941 r. Pochowany został z honorami wojskowymi, za zgodą prezydenta Franklina D. Roosevelta, na amerykańskim Cmentarzu Narodowym w Arlington. Tymczasowa mogiła znajdowała się nieopodal Mausoleum Grobu Nieznanego Żołnierza.





(NEWS foto)

Great Tribute . . .

to a great man. An honor guard of American soldiers stands at attention before St. Patrick's Cathedral as priests watch Polish veterans carry the casket of Ignace Paderewski, 80, patriot and musician, to a caisson. Body was taken to Pennsylvania Station, placed on a train for Washington for burial in the National Cemetery.

Pierwsza strona nowojorskiej gazety „Sunday News” z 13 lipca 1941 r.. Pogrzeb Ignacego Jana Paderewskiego. Kondukt żałobyny wychodzi z Katedry Św. Patryka, arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka

Jeszcze w 1986 r. podczas zwiedzania nekropolii, odwiedziłam grób polskiego pianisty. Wtedy ciągle nie było wolnej Polski i wobec tego nie można było myśleć o zorganizowaniu Jego

powrotu do Ojczyzny, gdzie chciał spocząć. Nastąpiło to dopiero w 1992 roku. Dokładnie w 51 rocznicę śmierci artysty, na pokładzie amerykańskiego samolotu wojskowego, szczątki I. J. Paderewskiego przewieziono do Polski. Do 4 lipca trwały uroczystości pogrzebowe, najpierw na Zamku Królewskim w Warszawie, potem w Poznaniu i ponownie w stolicy, w kościele św. Krzyża, skąd w dniu amerykańskiego święta narodowego niepodległości (Independence Day), wyruszyła procesja do katedry św. Jana. Tam, po mszy żałobnej z udziałem prezydentów – George’a Busha i Lecha Wałęsy, Paderewski pochowany został w krypcie katedry. Spoczął obok Henryka Sienkiewicza.

Długo nikt nic nie wiedział o sercu. Nawet o tym, że oddzielono je od ciała. Zupełnie przypadkowego odkrycia dokonał Conrad J. Wycka podczas zwiedzania, wraz ze swoim szwagrem Henrykiem Archackim, nowojorskiego cmentarza Cypress Hill (Cyprysowe Wzgórze). Zarówno groby nekropolii, jak i zbudowane w 1926 r. mauzoleum stały się celem ich wycieczki w dniu amerykańskiego święta pamięci narodowej (Memorial Day), przypadającego zawsze w ostatni poniedziałek maja i zwyczajowo rozpoczynającego letni sezon. Był 1959 rok. Fascynacja obiektem wiodła odkrywcę, co miało się wkrótce okazać, w coraz dalsze korytarze. W niszy numer 25 bocznej nawy, oznaczonej literą „G”, widniała mała marmurowa płyta z nazwiskiem; Ignacy Jan Paderewski, oraz rokiem urodzin i śmierci: 1860 -1941. Szczęśliwy zbieg okoliczności. Sprawę wziął w swoje ręce

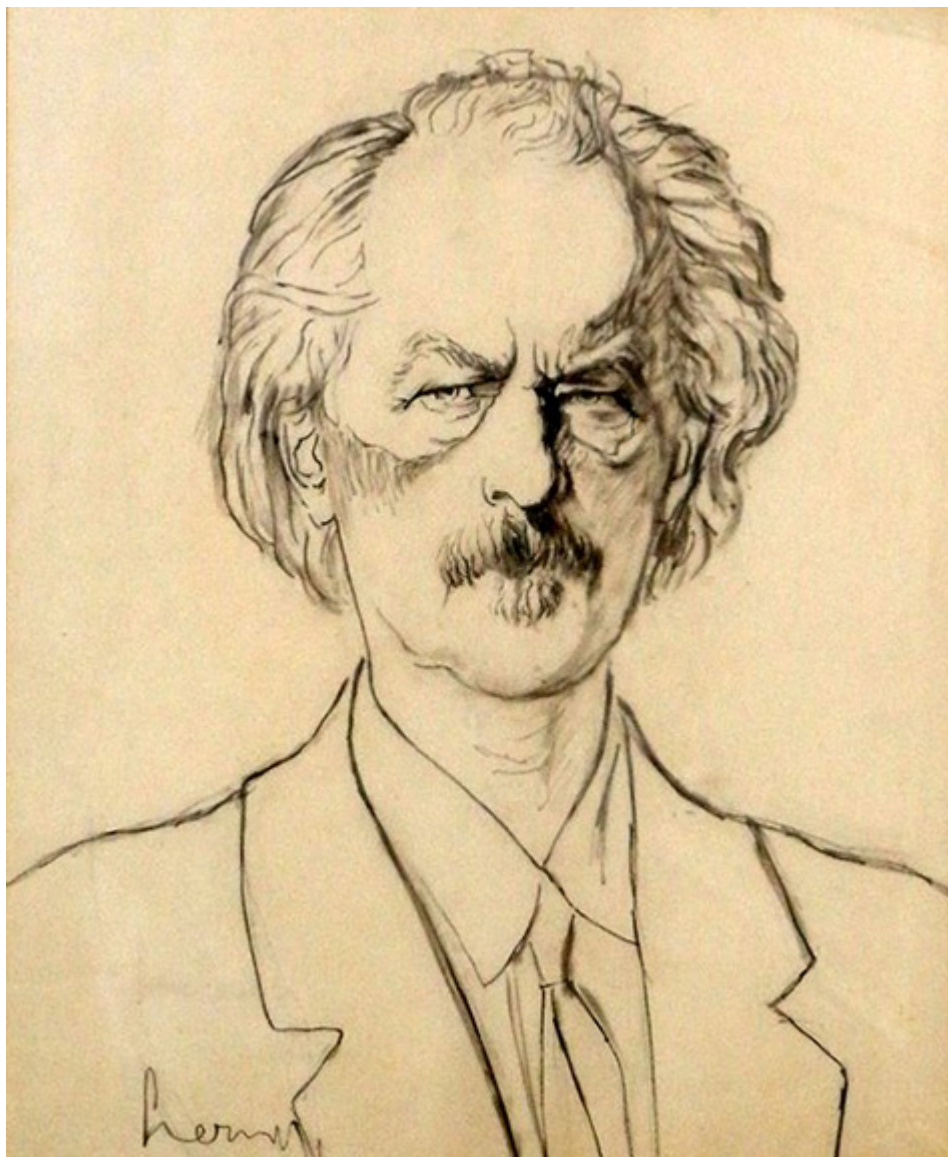
Henryk Archacki, wydawca, dziennikarz, artysta grafik, wybitny działacz i historyk Polonii, gorący miłośnik polskości. Zanim nadał jej szerszy rozgłos, zweryfikował odkrycie i ustalił kilka faktów niezwyklej historii.

Tuż przed śmiercią Ignacy J. Paderewski ustnie przekazał siostrze, Antoninie Paderewskiej Wilkońskiej, towarzyszącej bratu do ostatnich chwil życia, swą wolę, by pochowano go w wolnej Polsce, a jego serce pozostawiono w Ameryce. Pogrzebem mistrza Paderewskiego zajął się Jan Smoleński, właściciel renomowanego domu pogrzebowego w Greenpoincie, przy 1044 Manhattan Avenue, ale także wiceprezes (od 1929 r.), a następnie prezes (1942-1953) Zjednoczenia Polsko Narodowego, przez szesnaście lat również poseł w izbie niższej stanowego parlamentu w Albany, NY, człowiek zamożny i wpływowy. We wspomnieniach nadmienił:

Do najważniejszych uroczystości, które organizowałem, należał manifestacyjny pogrzeb w Nowym Jorku, wraz z przewiezieniem zwłok do Waszyngtonu, ś. p. Ignacego Paderewskiego.

Jan Smoleński, zgodnie z przekazaną mu przez A. Wilkońską wolą jej brata, usunął serce zmarłego, zabalsamował je i czekał na dalsze dyspozycje. Te nie nadchodziły. Cztery miesiące

bowiem po odejściu brata, 6 listopada 1941 r. zmarła Antonina Wilkońska. Urna z sercem Paderewskiego nadal stała w domu pogrzebowym Smoleńskiego. Czas uciekał. Rósł niepokój, co zrobić z tym sercem? Jan Smoleński podjął ostatecznie decyzję umieszczenia go w mauzoleum cmentarza Cypress Hill. Dokument nr 222146, udostępniony Henrykowi Archackiemu przez opiekuna mauzoleum Louisa Worthingtona, zawierał wszystkie fakty związane ze zdeponowaniem tam serca Paderewskiego 21 grudnia 1945 r., łącznie z pozwoleniem nr 1528 na tranzyt z domu pogrzebowego, opatrzony datą 18 grudnia 1945 r. Koszt wyniósł 25 dolarów. Jan Smoleński nie nagłośnił sprawy, a po jego śmierci 31 maja 1953 r. nikt nie znał miejsca pochowania serca wielkiego pianisty, aż do przypadkowego odkrycia sześć lat później.



Portret Ignacego Paderewskiego autorstwa Zbigniewa Czernańskiego

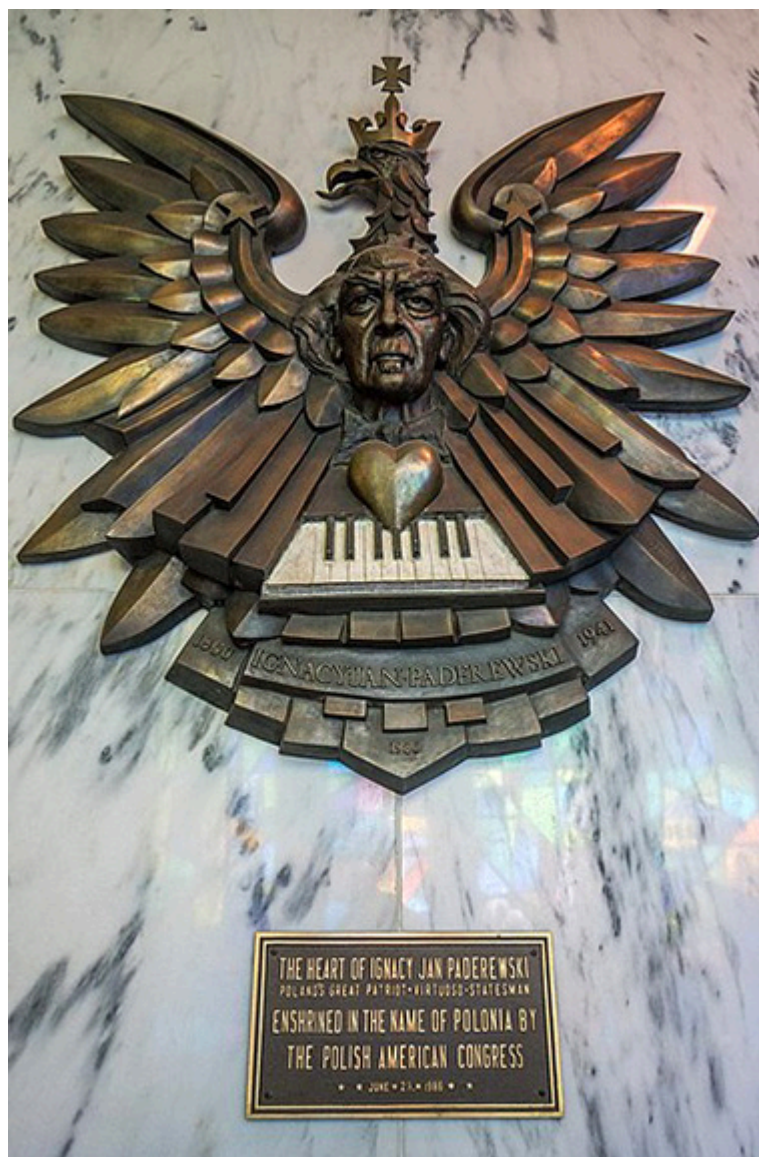
Mała nisza w mauzoleum na Cyprysowym Wzgórzu była jeszcze długi czas miejscem spoczynku serca Paderewskiego. Henryk Archacki daremnie poszukiwał innego, godnego i emocjonalnie bliższego Polonii.

Kongres Polonii Amerykańskiej, poinformowany o wszystkim w 1983 r. (choć pierwszy raz w 1966 r., ale wówczas nie podjął żadnych kroków, podobnie jak i nowojorska Fundacja

Kościuszkowska), dopiero trzy lata później powołał Komitet Serca Paderewskiego, którego przewodniczącym mianował Henryka Archackiego. Mijała właśnie kolejna rocznica urodzin pianisty. Najlepszym miejscem dla serca jawiła się Amerykańska Częstochowa w Doylestown, PA. Entuzjazm Archackiego dzielali inni członkowie komitetu. Otrzymali pełną aprobatę o. Lucjusza Tyrasińskiego, paulina, który w korespondencji z Archackim napisał:

Narodowe Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej jest zaszczycone i szczęśliwe, że może przyjąć serce Paderewskiego.

Amerykańska Częstochowa była gotowa do tego aktu. A on pojawiał się w najlepszym czasie. Niemal wyreżyserowanym. Po latach niemocy sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej rozkwitało. Nabierało głębokiego charakteru duchowego centrum Polonii, dla której zawsze było serce wielkiego Polaka. I teraz do niej wracało. Mieściło się w dłoniach zakonnika. Lekkie, skurczone, z wyraźnie zarysowaną siatką wyschniętych, opasujących je naczyń krwionośnych. Przykuło uwagę skupionych wokół niego osób. Emocje zdominowało wzruszenie. Odnaleziona urna z sercem Ignacego Jana Paderewskiego naprawdę je zawierała.



Serce Ignacego Jana Paderewskiego – Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej (Doylestown, PA), rzeźba Andrzeja Pityńskiego, fot. wikimedia commons

W sobotę, 21 czerwca 1986 r. urna została przywieziona do *Johnson Atelier Technical Institute of Sculpture* w Mercerville, NJ, do pracowni rzeźbiarza Andrzeja Pityńskiego. Tam, siedmioosobowa komisja, którą tworzyli: Henryk Archacki, przewodniczący Komitetu Serca Paderewskiego, pułkownik Anthony K. Podbielski, wiceprzewodniczący, o. Lucjusz Tyrasiński, dyrektor i kustosz sanktuarium maryjnego w

Doylestown, Andrzej Pityński, Stanisława Peczyńska Dziekanowski, Jerzy Koss i Malina Stadnik, dziennikarka „Nowego Dziennika”, zdecydowała, że trzeba rozwinąć grube zwoje bandaża z gazy, by przekonać się, co kryją. Nie było wątpliwości. Zabalsamowane, kruche serce wielkiego Polaka dokonywało ostatniego etapu swej niezwykłej wędrówki. Ponownie otulone świeżą gazą, poświęcone przez o. Lucjusza, wraz z dokumentem świadków wydarzenia, umieszczono i zalutowano w urnie-płaskorzeźbie wykonanej przez Andrzeja Pityńskiego. Dzieło godne Mistrza. Brązowy odlew polskiego orła w koronie z rozpiętymi skrzydłami, oparty na kompozycji koła o średnicy 120 cm i grubości 22, 5 cm, przedstawia w centralnym punkcie ekspresyjną twarz Paderewskiego skłonioną nad położonym sercem, spoczywającym na fragmencie klawiatury fortepianu. Tego samego dnia przewieziono tę urnę do Amerykańskiej Częstochowy i przytwierdzono do marmurowej ściany wschodniej części westibulu świątyni. Uroczystość odsłonięcia i dedykacji odbyła się 29 czerwca 1986 r., w czterdziestą piątą rocznicę śmierci Paderewskiego.

Obok wejścia do hotelu Buckingham na zachodniej stronie Manhattanu przy 6 Alei i 57 Ulicy wisi okazała, wykonana w brązie tablica, informująca, że to miejsce było ostatnią rezydencją Ignacego Jana Paderewskiego (1860-1941), premiera rządu polskiego, wielkiego pianisty, kompozytora i przyjaciela sześciu amerykańskich prezydentów, którego patriotyczne

wysiłki spowodowały odzyskanie przez Polskę niepodległości w końcu pierwszej wojny światowej. Paderewski debiutował w Carnegie Hall w czasie pierwszego turnee po Stanach Zjednoczonych w 1891 r. – czytamy dalszą część tablicy – i do śmierci w istotny sposób uczestniczył w życiu kulturalnym Nowego Jorku.

Artykuł ukazał się na stronie Instytutu im. J. Piłsudskiego w Nowym Jorku: <https://www.pilsudski.org/>



Zobacz też:

Żywot Paderewskiego

Andrzej Pityński – twórca niezłomny

Lipcowe rocznice



Jan Matejko, Bitwa pod Grunwaldem, Muzeum Narodowe w Warszawie, fot. domena publiczna

Włodzimierz Wójcik (1932-2012)

Nazwa jest dość jasna. Pochodzi od kwitnięcia drzewa lipowego. Dawniej był to lipień – od podbierania barci pszczelich. Ten miesiąc, który otwiera drugie półrocze jest dosłownie

przeładowany zdarzeniami historycznymi i tym wszystkim, co dzieje się w świecie przyrody. W lipiec 2006 roku wpisana jest przede wszystkim dwieście siedemnaście rocznica zburzenia paryskiej BastylII, symbolu starego porządku, którego stany – dotychczas upośledzone – miały po prostu dość. To właśnie z tamtego obszaru historii pochodzą szczytne, prawdziwie ludzkie hasła: Wolność, Równość, Braterstwo – nigdy i nigdzie niezapomniane. Dziś, jak i dawniej pociągające, aktualne, niezbędne do życia w ładzie społecznym, niczym czysta woda i przejrzyste powietrze. Dla nas, Polaków powodem do dumy jest – niejako spokrewniony ideowo z tamtym „lipcem francuskim” – Sejm Czteroletni, promujący nad Wisłą idee wolnościowe; sejm, który wydał szlachetny, najszlachetniejszy owoc w postaci Konstytucji Trzeciego Maja. Jest co wspominać i jest co – dziś i jutro – naśladować...

To był wiek osiemnasty. Przecież jednak i kilka stuleci wcześniej zrodziły się idee równie budujące. 1 lipca 1569 roku – podpisany został doniosły akt Unii Lubelskiej, który łądził stosunki pomiędzy Koroną i Litwą, umacniając wewnętrznie i zewnętrznie kształt Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Pamiętam lata sześćdziesiąte, gdy jako pracownik nauki Uniwersytetu Jagiellońskiego oprowadzałem gości z Wilna po wzgórzu wawelskim. Litewscy uczeni byli wyraźnie zaskoczeni i prawdziwie wzruszeni, kiedy stwierdzili, że na portalach, na licznych płaskorzeźbach herby Korony i Litwy, Orzeł Biały i

Pogoń – są tej samej wielkości. Cóż mogłem wówczas powiedzieć? Jedynie prawdę. To właśnie, że owe znaki i dawne symbole wyrażały samą istotę współżycia narodów połączonych unią braterstwa, unią opartą na gruncie zachowania podmiotowości każdej ze stron... Jeśli się cofnie pamięcią do roku 1410, to stanie przed naszymi oczyma słynna (15 lipca) bitwa pod Grunwaldem przypominana wielokroć przez malarzy, pisarzy, filmowców...

Inne lipcowe rocznice. Jest ich – jak wiadomo – wiele. Jaśniej blaskiem – jak wspomniano – rocznica zwycięskiego Jagiełłowego Grunwaldu. Warto też wymienić jeszcze dwie; z innej niejako dziedziny. Czwartego lipca (1934 r.) zmarła Maria Skłodowska-Curie, a dziewiątego tegoż miesiąca (1929 r.) Julian Fałat. I ona i on odeszli, a żyją i świecą, niczym żywe pochodnie pośród szarzyzny naszej codzienności i udręki, zaświadczając na każdym kroku, że uczone i artysta – mocując się z trudnym tworzywem – ciężary i ryzyko biorą na siebie, a otoczeniu i światu dają szczerze same WARTOŚCI. Warto o tym pamiętać dzisiaj, kiedy profesor uniwersytetu może za swoje miesięczne pobory kupić sobie na targu 2500 pęczków koperku... Można to zresztą przeliczyć na buraczki, na marchew. Jak kto woli. To mało ważne. Ważne jest to – i zarazem smutno – że to zaledwie tyle.

Ala przecież lipiec, miesiąc miodny, miesiąc wakacyjny niesie nam bardziej radosne tony. W dziewiętnastym wieku poetka, dziś

niesłusznie uważana za nieco staromodną, Maria Konopnicka bujny rozrost przyrody wiązała z nadziejami na odzyskanie przez nasz kraj Niepodległości. W wierszu *Lipy kwitną...* pomieszczonym w zbiorze *Linie i Dźwięki* (1897) pisała wyrażając przeświadczenie, że lipcowe słońce rozgrzeje patriotyczne uczucia narodu i umocni jego wolnościowe aspiracje:

Lipy kwitną... Wieją wonie miodu,
Prastarego wieją wonie cudu...
W słońce spojrział ślepy syn narodu,
W słońce spojrział duch mojego ludu!

Jarosław Iwaszkiewicz natomiast tak wyrażał nastrój własnej duszy w liryku *Lipiec* z międzywojennego tomu *Księga dnia i księga nocy* (1929):

W niebieskim ogrodzie
Wonno i przyjemnie
Obłoki jak łodzie
Przepływają we mnie...
I wszystko się zlewa
W łagodną pogodę.
Lipiec miodem śpiewa

Złoci żyto młode.

Innym sposobem, w innej poetyce i stylistyce, rzecz ujmował przedstawiciel Krakowskiej Awangardy, Julian Przyboś. Nie mogą nas wcale zaskakiwać u niego, nauczyciela języka polskiego w szkołach cieszyńskich w międzywojniu, takie oto radosne metafory, które zastosował w wierszu *Lipiec* (tom *Równanie serca* – 1938):

Na świadectwach, wzbici w radość, odlecieli uczniowie,
drży powietrze po ich śmigłym zniku.
Wakacje, panie profesorze! Pora
trzepać wesoło słowa jak futra na wiosnę

oraz

czasowniki przez dni lata odmieniać!

To prawda. W lipcowe dni, zaprawione wonią kwiatu tak bardzo dobrego „na kaszel”, nie zawadzi refleksja o naszej historii, nie zawadzi też odrobina euforycznej radości, jaką niesie przyroda i poezja. Ale ta refleksja powinna zapewne walnie uwzględniać wielowiekowe doświadczenia Polaków zawarte w przysłowiach,

których – w odniesieniu do lipca – jest wyjątkowo dużo. Jedne mówią o zbliżających się pożytkach: „Kiedy lipiec daje deszcze, długie lato będzie jeszcze”; „Lipcowe upały, wrzesień doskonały”; „Lipiec upały, wrzesień doskonały”; „W lipcowej porze łowią raki i piskorze”; „W lipcu słońce znów doskwiera, miód na lipach pszczołka zbiera”.

W niektórych zawarte są nauki i porady, niekiedy ostrzeżenia: „Gdy po gorącym lipcu sierpień chłodzi, twarda zima i duży śnieg zaszkodzi”; „Lipcowe deszcze, dla chłopa kleszcze, a jak pogoda, większa swoboda”; „Lipiec, ostatek chleba wypiecz”; „Od lip ciągnie wonny lipiec, nie daj słońku kłosa przypiec”; Upały lipcowe wróżą mrozy styczniowe”; „W lipcu trza gotować, co na jesień obiadować”. Tyle tych mądrości, przezorności. To dobrze... A nam co pozostaje na wakacje? Chyba jeszcze raz posłuchać słynnego „Iwachy” ze Stawiska. Tym razem mamy wybrane strofy wiersza *Lipiec* (z tomu *Krągły rok*):

Pachną lipce – Reymontowskie
i zwyczajne
pełne rowy kwietnej piany
miododajnej

kopic żyta złote róże
ściąga sinych wstążek krata

rzeki małe rzeki duże
Bzura Mrowa i Pilica
i Utrata
[...]

asfalt się roztopia w niebie
pełen olśnień
i cholerne ciągnie ciebie
w Polskę w Polskę

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

Zobacz też:

Upojny klimat czerwca

Rozkwit poezji w maju

Janusz Krzyżanowski wśród Polonii



15 listopada 1997 r. Janusz Krzyżanowski w trakcie spotkania w IJPA poświęconego Tadeuszowi Katelbachowi, fot. arch. autora
Krzysztof Langowski (*Nowy Jork*)

Spoglądając z obecnej perspektywy na dzieje polskiego uchodźstwa niepodległościowego na terenie Stanów Zjednoczonych po zakończeniu działań wojennych w 1945 r. nie sposób ją sobie wyobrazić bez znajdujących się w niej znaczących osobowości. Te właśnie indywidualności swoim poświęceniem, a także działalnością polityczną, społeczną i jednocześnie troską o zachowanie narodowych imponderabiliów w walce z komunistycznymi wpływami na polonijne środowisko niepodległościowe, dawały realne świadectwo istnienia poza Polską wolnej myśli w dziedzinie utrwalania tradycji, kultury i prawdy historycznej narodu polskiego. Podejmując się obecnie próby wskazania kilku ważniejszych postaci, które podjęły skuteczną pracę w emigracyjnym środowisku, bez najmniejszego wahania, możemy wskazać przede wszystkim na Janusza Krzyżanowskiego, Stanisława Gierata, Tadeusza Katelbacha, Andrzeja Ehrenkreutza i Wacława Jędrzejewicza.

Janusz Krzyżanowski urodził się 13 lipca 1921 r. w Buczaczu w woj. tarnopolskim, który obecnie znajduje się na terenie Ukrainy, jest przez nas w rzeczywistości zapamiętamy, jako osoba która była przede wszystkim więźniem sowieckich łagrów, żołnierzem, działaczem społecznym i niepodległościowym na uchodźstwie. Wybuch drugiej wojny światowej we wrześniu 1939 r. i klęska osamotnionych wojsk polskich nie zniechęciła go jednak do kontynuowania walki z okupującymi kraj wojskami niemieckimi i sowieckimi. Podjął próbę przedostania się ze Lwowa, gdzie

mieszkał, przez granicę z Rumunią do tworzącego się we Francji Wojska Polskiego. Niestety został aresztowany przez oddział NKWD i następnie więziony we Lwowie i w obozie w Starobielsku. Skazany przez sąd sowiecki na dziesięć lat ciężkiej pracy, a następnie przewieziony do łagru w rejonie Peczora na Workucie. Dzięki podpisaniu umowy w dniu 30 lipca 1941 r. pomiędzy rządami polskim i sowieckim w Londynie, Krzyżanowski został uwolniony z łagru i dotarł do formującej się na terenie Rosji Armii Polskiej. Rok później razem z oddziałami polskimi został przetransportowany do Iranu, gdzie został przydzielony do Szkoły Podchorążych 8. Dywizji Piechoty znajdującej się w miejscowości Pahlawi. Wkrótce później po przerzuceniu go na Wyspy Brytyjskie został wcielony do dowodzonej przez gen. Stanisława Sosabowskiego Samodzielnej Brygady Spadochronowej, a następnie do Oddziału VI (Specjalnego) Naczelnego Wodza, gdzie na stanowisku instruktora zajmował się szkoleniem spadochronowym żołnierzy polskich. Koniec działań wojennych w 1945 r. i zajęcie kraju przez wojska sowieckie, a także utworzeniu tam komunistycznego systemu, zmusiły go do pozostania na stałe na emigracji. Dlatego też w latach 1946-1948 był przydzielony do rozlokowanego na terenie Wielkiej Brytanii Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Ostatecznie kilka lat później w 1951 r. przeniósł się z Wielkiej Brytanii do Stanów Zjednoczonych, gdzie zamieszkał na krótko w Chicago w stanie Illinois, aby rok później przenieść się i zamieszkać na stałe w

Newark w New Jersey.



3 sierpnia 1979 r. Janusz Krzyżanowski i prezydent Jimmy Carter w trakcie spotkania w Białym Domu w Waszyngtonie, fot. arch. autora

Już po przyjeździe do Ameryki Janusz Krzyżanowski związał się z działalnością społeczną i wstąpił w szeregi istniejącej w Chicago placówki nr 2 Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej (SWAP). Jednakże rozłam, który nastąpił pomiędzy starymi działaczami, a nowoprzybyłymi żołnierzami z frontów II wojny światowej po

decyzjach podjętych przez tych pierwszych na zjeździe SWAP w dniach 30-31 maja 1952 r. w Utica w Stanie Nowy Jork doprowadził do działań mających na celu zorganizowanie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Ameryce. Zebranie Komitetu Organizacyjnego nowej organizacji żołnierskiej odbyło się 16 listopada 1952 r. w sali bibliotecznej Polskiego Domu Narodowego przy Saint Marx Place na nowojorskim Manhattanie. Przeprowadzenie zjazdu założycielskiego stowarzyszenia SPK zaplanowano na 6-7 czerwca 1953 r. w jednej z sal hotelu Henry Hudson przy 57 ulicy na Manhattanie. Na podstawie decyzji podjętej przez Komitet Organizacyjny umożliwiono także wzięcie udziału w planowanym zjeździe na prawach pełnomocnych delegatów dwudziestu trzem kawalerom orderu Virtuti Militari. Wśród nich znaleźli się m.in. założyciel Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce Wacław Jędrzejewicz i działający w tej placówce archiwalno-naukowej gen. Wincenty Kowalski. Po latach Janusz Krzyżanowski wspominał „Zjazd był wielkim wydarzeniem zarówno w życiu całej emigracji polskiej, jak i w życiu polsko-amerykańskim”. W obradach wzięło udział 59 delegatów z istniejących 22 kół terenowych komórek organizacyjnych, a także ponad 500 gości. Organizatorzy zjazdu w większości byli legalistami, uznającymi prawowitą władzę Polski – prezydenta i rząd Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie. Dlatego też na zjeździe był obecny przedstawiciel tych władz w osobie ambasadora Józefa Lipskiego. Uroczystego otwarcia zjazdu dokonał Stanisław Gierat, który w imieniu byłych

polских żołnierzy zapewnił o chęci pomocy polskiej emigracji dla Ameryki „w walce z komunizmem i dyktaturą Sowietów. Zawsze w dobrej, czy złej chwili będziemy po tej stronie, która walczyć będzie z tyranią komunistycznego ucisku, aż wolność zapanuje na całym świecie”.



15 sierpnia 2004 r., prezes SPK Janusz Krzyżanowski i Komendant SWAP Wincenty Knapczyk składają wieniec pod Kolumną Matki Boskiej Hetmanki Wojska Polskiego w Doylestown, fot. arch. autora

Pierwszym prezesem SPK został wybrany Stanisław Gierat, a Janusz Krzyżanowski na stanowisko sekretarza generalnego. Obejmując to stanowisko Janusz Krzyżanowski miał za zadanie

zorganizowanie i jednocześnie kierowanie kancelarią nowej organizacji. W celu propagowania idei niepodległościowej i jednoczesnego manifestowania antykomunizmu w Ameryce, a także w celu starania się o pozyskanie przez SPK przychylności środowiska polonijnego, podejmowano się organizowania wizyt w Stanach Zjednoczonych wyższych dowódców polskich z okresu II wojny światowej, którzy mieszkali w większości na terenie Europy. Jednym z takich przypadków było wykorzystanie swoistej okazji jaką było zaproszenie na dwumiesięczny pobyt w USA przez utworzoną w 1921 r. amerykańską organizację weterańską o wybitnie antykomunistycznym nastawieniu – PLAV gen. Stanisława Maczka. Generał Maczek wziął udział w dniu 3 września 1954 r. w XII Konwencji Krajowej PLAV, która się odbyła w Buffalo w stanie Nowy Jork. Kierownictwo SPK zdecydowało się wykorzystać pobyt generała propagandowo i dlatego też Stanisław Gierat i Janusz Krzyżanowski wzięli także udział w jego oficjalnej wizycie w dniu 26 października 1954 r. u prezydenta Dwighta Eisenhowera w Waszyngtonie.

Podczas obrad III Zjazdu SPK w dniach 25-26 maja 1957 r. odbywającego się w budynku Fundacji Kościuszkowskiej na Manhattanie Stanisław Gierat zrezygnował z ponownego kandydowania na stanowisko prezesa. Na to stanowisko został wybrany jednogłośnie Janusz Krzyżanowski. Nowy prezes był bardzo sprawnym organizatorem. Często wyjeżdżał i dokonywał wizytacji poszczególnych kół SPK i niejednokrotnie brał udział w

ważniejszych uroczystościach. Jako przykład może posłużyć jubileusz piątej rocznicy działalności koła SPK w Cleveland w Ohio, gdzie w swojej wypowiedzi zachęcał miejscowych kombatantów do dalszej działalności, wskazując przy tym konieczność przystąpienia SPK do Kongresu Polonii Amerykańskiej. Apel Krzyżanowskiego związany był z treścią wysłanego przez niego wcześniej pisma w imieniu Zarządu Głównego SPK w dniu 2 sierpnia 1957 r. do prezesa KPA Karola Rozmarka, w którym zadeklarował chęć przystąpienia stowarzyszenia do tej organizacji. Krzyżanowski pisał m.in., że „SPK jest organizacją patriotyczno-polityczną, w sensie ogólnopolskim, której naczelnym zadaniem jest praca zmierzająca do odzyskania przez Polskę pełnej niepodległości. Ponieważ ten sam cel przyświeca Kongresowi, przeto SPK jest organizacją, która daje pełną gwarancję lojalności i pożytecznej współpracy”. Organizacja została formalnie przyjęta do KPA w listopadzie 1957 r. Fakt przystąpienia SPK do KPA był zdaniem Krzyżanowskiego wyjątkowo doniosłym wydarzeniem, co znalazło swe odbicie na łamach wydawanego przez SPK pisma „Kombatant” nr 4 z 1957 r., gdzie pisano „Zacierają się bez potrzeby istniejące sztuczne różnice i podziały na tzw. starą i nową emigrację, wskazując, że nic nas nie powinno dzielić, a wszystko nas łączyć, gdy chodzi o dobro Sprawy Polskiej”.



20 czerwca 2017, spotkanie w IJPA z autorem książki „Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych w latach 1953-1990” Piotrem Kardelą. Stoją od lewej strony: Krzysztof Langowski, Beata Langowski, Janusz Krzyżanowski, Piotr Kardela, Mieczysław Madejski, fot. arch. autora

Jednocześnie w tym samym okresie Krzyżanowski zdecydowanie usztywniał swoje stanowisko do sytuacji politycznej, która zaistniała w Polsce po objęciu władzy przez Władysława Gomułkę. W swojej wypowiedzi z 25 sierpnia 1957 r. stwierdził m.in. „Nie ulega wątpliwości, że w Polsce zaszły duże zmiany po październiku 1956 r., ale one są jeszcze dalekie od pełnej wolności i niepodległości kraju, co najwyżej Polska uzyskała

autonomiczna niezależność w ramach imperium komunistycznego. W dalszym ciągu rządzi Polską ta sama partia komunistyczna, która jest odpowiedzialna za morderstwa i wyzysk narodu na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat. Kościół, pomimo wszystko nie uzyskał pełnej swobody. Na prasę nałożono już czerwony hamulec. Panuje nadal nędza i ucisk, a wreszcie Polska nie tylko jest pozbawiona Ziem Wschodnich, ale w dodatku jest okupowana przez garnizony rosyjskie, których zadaniem jest ciągle trzymanie społeczeństwa w ustawicznym terrorze”.

Kilka lat później w trakcie posiedzenia VI Konwencji Krajowej KPA, która odbyła się w dniach 18-20 września 1964 r. w Chicago Janusz Krzyżanowski został wybrany na jednego z 18 członków wchodzących w skład Rady Dyrektorów tej organizacji. Był to także niewątpliwie symboliczny w swojej wymowie moment ponieważ po raz pierwszy od 20 lat od założenia KPA w jej władzach znalazł się przedstawiciel środowiska wywodzącego się z nowej emigracji wojennej. W tym okresie zarówno sam Krzyżanowski jak też i całe SPK dużo wysiłku włożyło w działania mające na celu zachowanie dotychczasowej postawy niepodległościowej realizowanej przez kierownictwo KPA, która była atakowana coraz bardziej przez przedstawicieli komunistycznego rządu państwa polskiego. Zabiegali oni o to, aby KPA ostatecznie pogodził się z rzeczywistością polityczną istniejącą w PRL i jednocześnie podjęło współpracę z rządem

Gomułki. Działania SPK, które starano się realizować w celu zahamowania takich właśnie tendencji nie tylko w rzeczywistości pomogły w tym okresie w utrzymaniu dotychczasowej linii ideowej KPA, ale także zdecydowanie zaostrzyły stosunek do tych członków znajdujących się w tej organizacji, którzy podjęliby próby nawiązania kontaktów z placówkami dyplomatycznymi i konsularnymi reprezentującymi PRL. W dniach 27-29 września 1968 r. Janusz Krzyżanowski został ponownie wybrany na VII Krajowym Zjeździe Krajowym KPA na jednego z dwudziestu członków Rady Dyrektorów. Na tym stanowisko był wybierany przez wiele kolejnych kadencji.

Zarząd Główny SPK wydawał własne pismo „Kombatant w Ameryce”, w którym zamieszczano m.in. rzetelne relacje historyczne poświęcone tematycznie II wojnie światowej, a także działalności władz komunistycznych zarówno w Polsce jak też i ich przedstawicieli rezydujących na ziemi amerykańskiej, którzy podejmowali coraz to nowe próby mające na celu skuteczniejsze wpływanie na polonijne środowisko niepodległościowe. Członkowie Zarządu zwracali się przy tym do władz poszczególnych kół o propagowanie na swoim terenie publikowanych przez nich informacji wśród społeczności amerykańskiej. Od chwili założenia SPK zarówno sam Janusz Krzyżanowski jak też wielu jej członków czynnie współpracowało w zakresie przedstawiania społeczeństwu amerykańskiemu prawdy o Polsce, jej kulturze, tradycji i historii najnowszej z

istniejącym na terenie Nowego Jorku od 4 lipca 1943 r. Instytutem Józefa Piłsudskiego. Zarówno Instytut jak też i SPK łączyła przede wszystkim wspólnie propagowana idea niepodległościowa, wspieranie istniejących na uchodźstwie w Londynie władz państwa polskiego, a także niechęć do władz komunistycznych w Polsce. W szeregach zarówno Instytutu jak też i SPK działało wiele osób, wśród których można wyróżnić poza samym Januszem Krzyżanowskim także m.in. Stanisława Gierata, Wacława Jędrzejewicza, Leonarda Zub-Zdanowicza, Tadeusza Siutę, Wiesława Domaniewskiego, Stanisława Jordanowskiego, Edwarda Kleszczyńskiego, Jerzego Lerskiego, gen. Władysława Bortnowskiego, gen. Wincentego Kowalskiego, Andrzeja Pomiana, Andrzeja Ehrenkreutza i Tadeusza Katelbacha. Zwyczajowo także związki z IJPA były dodatkowo zaciśnięte przez fakt, że obydwaj prezesi SPK byli także członkami Rady w tej nowojorskiej placówce archiwalno-naukowej. Stanisław Gierat zasiadał w tym gremium od 1965 r. aż do swej śmierci w 1977 r. a Janusz Krzyżanowski w okresie od 1978 r. do 2019 r. Wyraźnym przykładem takiej właśnie współpracy, na który można wskazać, jest niewątpliwie również wspólna wizyta przedstawicieli SPK i IJPA w dniu 25 września 1965 r. u gen. Kazimierza Sosnkowskiego w Arundel w Kanadzie z okazji jego osiemdziesiątych urodzin. Z Nowego Jorku pojechali wówczas Stanisław Gierat, Janusz Krzyżanowski, Kazimierz Bendyk, Witold Nurczyński i Edward Kleszczyński.



4 grudnia 2018, Newark, New Jersey, Beata Langowski i Janusz Krzyżanowski z dokumentem awansu dla niego na stopień pułkownika podpisany w dniu 17 października 2018 r. przez szefa MON Mariusza Błaszczaka, fot. ach. autora

Wspólne działania mające na celu przeciwstawienie się akcji podjętej przez władze komunistyczne w Polsce, kierowane przez rząd Edwarda Gierka przeciwko środowisku niepodległościowemu w Ameryce podejmował Janusz Krzyżanowski wspólnie z działaczami Instytutu Józefa Piłsudskiego, także w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych

XX w. Komuniści podjęli wtedy kolejną próbę mającą na celu doprowadzenie do skutecznego skonfliktowania ze sobą środowiska starej Polonii przeciwko powojennej emigracji żołnierskiej. Zgodnie z przyjętymi pierwotnie założeniami środowiska niepodległościowego amerykańskiej Polonii nawiązanie choćby luźnych kontaktów z instytucjami krajowymi w zdecydowany sposób podważało sens dalszego oporu wobec komunizmu i jednocześnie kontynuacji trwania na emigracji. Dlatego też podobnie jak i w poprzednich latach działacze niepodległościowi wśród których zdecydowanie wyróżniali się zarówno sam Janusz Krzyżanowski jak też i ci, którzy byli skupieni w Instytucie Józefa Piłsudskiego trwali zdecydowanie w swoim sprzeciwie do zaistniałej po 1945 r. w Polsce rzeczywistości i dlatego też zostali nazywani przez swoich politycznych przeciwników „niezłomnymi”. Środowisko „niezłomnych” było przeświadczone o tym, że nie można było zaakceptować nawet najmniejszych ustępstw, niezależnie, czy miało to być związane z podjęciem kontaktu z instytucjami naukowymi w PRL, korzystaniem z biur zagranicznych Pekao lub Orbisu, zakupami w Cepelii, pójściem na koncert zespołu pieśni i tańca „Mazowsze”, czy choćby także o zwykłą chęć odwiedzenia rodziny mieszkającej w Polsce. Takie właśnie ustępstwa pojmowane było przez nich jako bezwzględna zdrada ideałów niepodległościowych. Dlatego też zdecydowanie zaprotestowano w tym czasie m.in. przeciw zapraszaniu do Ameryki przez polonijne instytucje działaczy komunistycznych jak prezesa

Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” prof. Mieczysława Klimaszewskiego i referenta spraw polonijnych w Komitecie Centralnym PZPR prof. Hieronima Kubiaka.

Janusz Krzyżanowski zmarł 21 marca 2019 r. w Newark w New Jersey. W trakcie uroczystości pożegnalnej zmarłego w dniu 30 marca 2019 r. w kościele św. Stanisława Kostki na nowojorskim Greenpoincie dr hab. Sławomir Cenckiewicz w swojej wypowiedzi stwierdził m.in., że odprowadzając na wieczną wartę

płk Janusza Krzyżanowskiego rozstajemy się dzisiaj bezpowrotnie z epoką niepodległościowego wychodźstwa w Ameryce. Odszedł ostatni z wielkich niezłomnych i nieprzejednanych przedstawicieli emigracji, którzy od czasu II wojny światowej – wspólnie z Polonią – dźwigali na swoich barkach trud walki o Sprawę Polską w Ameryce. [...] Żegnamy więc dzisiaj Człowieka, którego żywot ostatnich dekad stanowi pewną klamrę epoki, a cały żywot nas zwyczajnie zawstydza, bo jego naczelnym imperatywem była służba dla Polski, aż do wyrzeczenia się własnego szczęścia, zaszczytów, wygod i bogactwa. „Wszystko dla Polski – nic dla siebie” – oto dewiza, którą żył płk Janusz Krzyżanowski!.

Artykuł ukazał się w tygodniku „Kurier Plus”, 22 maja 2021 r. nr 1393 (1693) na stronach 1 i 12.

Zobacz też:

Wacław Jędrzejewicz w 128. rocznicę swoich urodzin

Pierwsze lata po wojnie – Academia Zamoscensis

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)



Po lewej gmach Akademii Zamoscensis, w środku dzwonnica kolegiaty, obecnej katedry, fot. arch. autorki

Tym razem piszę o Zamościu i szkole okresu stalinowskiego. Tak wiele się zmieniło od tej pory, że myślę o przekazaniu pokoleniu moich wnuków, jak wyglądała wtedy szkoła i jaką wychowawczą organizacją było harcerstwo w wydaniu przedwojennym. Ponieważ obecne szkoły średnie stały się zagrożeniem tak dla uczniów, jak i dla nauczycieli - uważam, że powrót do sprawdzonych metod wychowawczych mógłby pohamować głupią przemoc i wybryki z nudów. Zamieszczonych w moich wspomnieniach pieśni patriotycznych dzisiaj już nikt nie zna, widać zaniedbanie rozwoju duchowego, zanik

wrażliwości na piękno przyrody, miłości do krajobrazu i zabytkowej architektury. Wydaje mi się, że prawdziwa, rzetelna wiedza historyczna mogą przynajmniej pomóc odciągnąć młodzież od wpływu tej zagubionej moralnie z prawej drogi. Myślę, że mówienie i uprzątnianie jednak coś da.

Po powrocie z niewoli, ojciec zabrał nas do Zamościa, gdzie była już ciocia Janka, siostra ojca i babcia – Mateńka. Początkowo zmuszeni byliśmy zamieszkać w jednym z domów posesji ojca, ale nie w tym ukochanym. Dwa niewielkie pokoiki i zimno-wilgotna kuchnia z wejściem bezpośrednim ze dworu. Mama przestała się poruszać. Ostry ischias (*rwa kulszowa, przyp. red.*) tak biedną zaatakował, że nie mogła wstać z łóżka. Miała wtedy dopiero 46 lat. Ojciec chorować zaczął na wrzody (karbunkuł), które wysypywały się na karku, bardzo bolesne i usztywniające, paraliżujące wszelkie ruchy. Miał tyle samo lat, co mama. Oboje bardzo cierpieli. Pracę dostał w PKO mieszczącym się w tzw. Centralce, czyli tam, gdzie przed wojną, ale pensja była tak mała, że nie mogliśmy się z niej utrzymać. Było głodno. Od września zaczęliśmy wszyscy chodzić do szkoły średniej. My z Elą do żeńskiego Liceum im. Marii Konopnickiej, bracia do Liceum im. hetmana Jana Zamoyskiego. Obie szkoły mieściły się wówczas w ogromnym, zabytkowym gmachu Akademii Zamoscensis z bardzo dobrymi tradycjami.

Pierwsze powojenne Święta Bożego Narodzenia obchodziliśmy w ciasnocie z bardzo kłującą choinką z jałowca, która musiała stać na kufrze. Jedno spanie było na biurku taty wciśniętym w kąt, drugie na wyrku pod oknem. W drugim pokoju na zsuniętych łóżkach mieścili się rodzice ze mną i Elą, dopóki siostra nie wywalczyła sobie własnego pokoju w naszym domu.

Przyjmowaliśmy gości – serdecznych przyjaciół rodziców. A byli nimi ks. dziekan Zawisza, proboszcz kolegiaty zamojskiej i pani Irena Czaplicka, więzień Auschwitz. Państwo Czapliccy mieszkali przed wojną po sąsiedzku i zawsze zapraszali nas wszystkich. Dom podobny do naszego był na kształt dworu z dużymi pokojami, ładnie urządzonymi. Pamiętam wiszące na choince marcepany w różnych kształtach, jak bombki. Podniesiono mnie wysoko i pozwolono wybrać coś, co mi się najbardziej podoba. Wskazałam na długą laskę w złotym opakowaniu. W środku były karmelki. Długo zjadałam ją po kawałku. Takie nieistotne szczegóły pozostają w pamięci – nie wiadomo dlaczego. Pamiętam też pierwsze imieninowe prezenty od pani Czaplickiej. A tymi cieszyłam się ogromnie. Srebrny pierścionek z oczkiem w kolorze miodu nosiłam z dumą, podobnie, jak granatową wstążkę do moich warkoczyków.

Mama wyjechała na kurację do Buska Zdroju. Chodziliśmy wtedy na obiady do Caritasu, gdzie dawano jednodaniowe posiłki dla ubogich. Zaliczaliśmy się co takich. W domu jedliśmy na okrągło

pęczak. Do dzisiaj nie mogę na niego patrzeć. Po ośmiu tygodniach leczenia, witaliśmy mamę stojącą na własnych nogach. Stał się cud, życie wróciło do normy. Poza tym obrodziły jabłonie, piekło się więc postną szarlotkę bez cukru i z szarej mąki, ale to i tak było wspaniale. Zupa owocowa zastąpiła znienawidzony pęczak. Najważniejsze było to, że wszyscy się uczyliśmy, a szkoły nasze miały znakomitych profesorów i oddanych pedagogów. Braci moich uczył znany i powszechnie lubiany prof. Michał Pieszko – historyk i geograf. „Cześć marszałkowi – krzyczeli chłopcy chórem – globus i pałka to symbole marszałka! Cześć, cześć, cześć!” I dopiero wtedy wolno było usiąść, bo trzeba dodać, że za moich czasów zawsze wstawało się na powitanie profesora dla okazania szacunku (o, gdzie te obyczaje?) oraz odmawiano modlitwę na początku pierwszej lekcji i na końcu ostatniej. Dodatkowo także na lekcjach religii. Drugim popularnym pedagogiem był prof. Miller, założyciel zamojskiego ZOO, które powiększone istnieje do dzisiaj. Dyrektorem gimnazjum męskiego był wówczas prof. Michał Bojarczuk, a w naszym żeńskim pani Maria Kaczyńska, później pani Hanna Porębska.

Wybitnymi naszymi profesorkami były: pani Lucyna Kniaziowa wspaniała polonistka i uwielbiana wychowawczyni. Niesłychanie skromnie ubrana, przeważnie na granatowo. Miała ciemne włosy uczesane gładko w wałek pod spód ujęty w siatkę dla idealnego porządku. Jej szaro-niebieskie oczy przenikały na wylot

dogłębnie każdą z nas, po prostu czytała w naszych głowach, sercach i duszach. Nie sposób było zapomnieć mądrości tych oczu. Była w nich prawość, czystość, uczciwość, powaga i dobroć zarazem. Lubiła młodzież i rozumiała ją. Dzisiaj, z perspektywy czasu podziwiam Jej takt i umiejętność przekazywania wartości literatury polskiej w okresie, gdy zacierano wszystko, co patriotyczne, wszak rozpoczął się już reżim stalinowski. Ile kosztowały ją zdrowia wizytacje o charakterze politycznym z tendencją, by nauczyciela lub szkołę skompromitować, jak bardzo denerwowała się o nas i za nas – wiedziałyśmy to po charakterystycznej, czerwonej plamie na szyi. Zdaje się, że nasza klasa nigdy nie zawiodła.

Drugą osobowością pedagogiczną była madame Maria Markuszewska, romanistka. Uczyła nas trudnej wymowy języka francuskiego z lusterkiem, co pomagało korygować układ ust. Bezlitośnie wyśmiewała nieudolne „siur”, „dziur”, „że ne se pa”, „że ne we pa”. Sama znała język znakomicie. Była po Sorbonie i po wielu latach spędzonych we Francji. Dystyngowana dama, wyprostowana, lekko uśmiechnięta z buzią w ciup, uczesana starannie w koczek z tyłu i niezmiennie w granatowym „mundurku”. Była po prostu wzorowa! Uczyła nas przy każdej okazji dobrych manier i kultury na co dzień. Na lekcjach francuskiego wałkowałyśmy w kółko „Quand trois poules vont aux champs, la premiere va devant...” Zabawy szkolne w gronie własnym urozmaicone były małymi przedstawieniami

kostiumowymi, trwały dla klas najmłodszych tylko do godziny 20-tej. Moją wychowawczynią na początku była pani Aurelia Pieszkowa, żona prof. Michała Pieszki. Uczyła nas robót ręcznych: szycia na maszynie, kroju i innych umiejętności kobiecych, które przydały się w życiu.

W szkole panowały wtedy obyczaje jak na przedwojennej pensji. Obowiązywał strój granatowy tj. spódniczka o dowolnym kroju i średniej długości oraz bluza, a na uroczystości biała z długimi rękawami bluzka. Do tego nosiło się granatowe berety. Były też w powszechnym zastosowaniu fartuszki czarny i granatowy: jedne o specjalnym kroju z plisowanymi falbankami (wzór przedwojenny) wkładane na coś w rodzaju mundurka; inne bardziej rozpowszechnione i praktyczne – to fartuchy z długimi rękawami, zapinane na mankiet, z przodu zapięcie na całej długości, paseczek w pasie i biały przyszywany kołnierzyk, zawsze świeżutki. Stroje te wymagały ciągłego prasowania i prania kołnierzy, lecz mimo to, większość dziewcząt takie nosiła. Ja donaszałam po Eli przerobioną trochę spódniczkę i bluzę z białym kołnierzem. Byłam bardzo dumna z mojej nowej szkoły i nowych koleżanek. Tą z pierwszej ławki, tuż przed katedrą profesorską, została z wyboru Alisia (Alicja) Treflerówna. Trochę grubasińska, ale ładna szatynka miła i wesoła, która mnie zaakceptowała z miejsca. Podziwiałam jej dwa długie, lśniące warkocze, które zaplecione nad uszami spływały grubymi sznurami i kończyły się dyndającymi granatowymi kokardami w

okolicach pasa. Alisia okazała się pilną, solidną, inteligentną dziewczynką i dobrą koleżanką.

Czasy najpierw wspaniałe, entuzjastyczne pozwalały nam na harcerstwo, zbiórki, ogniska, szkolne msze św. w kościele pod wezwaniem Św. Katarzyny, zaraz koło naszej budy. Pierwsze powojenne i jedyne na długie lata święto 3-go Maja obchodzone było z wielkim wzruszeniem i zaangażowaniem patriotycznym. Uczniowie wszystkich szkół oraz ludność z całego Zamościa zebrana na rynku starego miasta – przeżywaliśmy entuzjazm. Powiewały wtedy tylko biało-czerwone flagi, a jedna, zatknięta na szpicu wieży ratusza miejskiego prostowała się powiewem wiatru rozciągając w niebo całą swoją wielometrową długość, jakby wołała: „patrzcie, oto znów jestem. Zwyciężyłam!” Łzy napływały do oczu, zwłaszcza, że w oficjalnym przemówieniu wciąż słychać było powtarzane często słowa: SUWERENNA! NIEPODLEGŁA! WOLNA! Był to rok 1946. A podczas uroczystej akademii w szkole Baśka Kowałko recytowała przepiękny wiersz I. Gałczyńskiego „Dwie flagi”, a w nim słowa przyprawiające o dreszcz w placach: „... i nigdy nie będziesz biała, nigdy nie będziesz czerwona, będziesz zawsze biało-czerwona, hej! biało-czerwona. Czerwona, jak puchar wina, biała, jak śnieżna lawina”. Jakże szybko zapomniano o rozmowie polskich flag.



Odzyskaliśmy zrujnowany dom w Zamościu, 1947 r., ja, tata i Julek Fabijański (Teresa, Józef, Juliusz), fot. arch. autorki

Naszą ostoją było harcerstwo – to z lat 1945-49, które nawiązywało do czasów przedwojennych i było oparte na

angielskim skautingu według założyciela i jego twórcy – Baden Powella. Uczyliśmy się piosenek harcerskich zawsze żywych, w rytmie marsza, lirycznych, śpiewanych przy ogniskach i cudownych, nastrojowych, głębokich modlitw, które przenikały leśną ciszę na wieczornych apelach obozowych i schodziły do mruzczenia kończącego się uściskiem splecionych na krzyż dłoni – symbolicznego gestu jedności.

O, Panie Boże, Ojciec nasz

w opiece swej nas miej.

Harcerskich serc Ty drgnienia znasz,

Dopomóc zawsze chciej.

Wszak Ciebie i Ojczyznę,

Miłując chcemy żyć,

Harcerskim prawom w życia dniach

Wiernymi zawsze być.

A jeszcze w Hrubieszowie nauczyłam się na zbiórkach chorału

Kornela Ujejskiego.

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,

Do Ciebie Panie bije ten głos.

Skarga to straszna, jęk to ostatni,

Od takich modłów bieleje włos.

*

My już bez skargi nie znamy śpiewu.

Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń.

Wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu

Sterczy ku Tobie błagalna dłoń.

*

O, Panie, Panie, ze zgrozą świata

Okrutne dzieje przyniósł nam czas.

Syn zabił matkę, brat zabił brata,

Mnóstwo Kainów jest pośród nas.

Ależ o Panie, oni niewinni

Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz.

Inni szatani byli tam czynni

O, rękę karaj, nie ślepy miecz.

Piszę z pamięci zdumiona, że słowa te tkwią we mnie ponad sześćdziesiąt lat.

Poza pieśniami i wierszami uczono nas sprawności umysłowej, fizycznej, wielu umiejętności tzw. radzenia sobie w trudnych życiowych sytuacjach. Odwaga, prawość rzetelność, spostrzegawczość, solidność i solidarność – to cnoty, które wówczas były w najwyższej cenie. Jednym słowem – tamto harcerstwo było organizacją wychowawczą, patriotyczną, dającą wiedzę, wiele sprawności i umiejętności życiowych, ale również ogromną radość i wiele atrakcji. Uczyliśmy się wiązać węzły,

musiałyśmy umieć tropić, odnajdywać drogę w lesie, nieść pomoc, w wypadkach. Później nawet skończyłam kurs sanitarny i zostałam druhną higienistką, co przydało się nie tylko w Żabczycach na Śląsku, na obozie w 1949 r. ale w ciągu całego życia.

Do niewątpliwych atrakcji należały kiermasze, na które przygotowywałyśmy same różne zabawki, bibeloty, serwetki, koszyczki itp. przedmioty własnej roboty, by po ich sprzedaży uzyskać pieniądze na organizację obozu letniego. Uwielbialiśmy wszyscy wieczorne ogniska na stadionie zamojskim, przygotowywane wspólnie z harcerzami z Liceum męskiego im. hetmana Jan Zamoyskiego. Pomyślane były jako widowiska pełne humoru i śpiewu przy płonącym, ogromnym ognisku. Przychodziło na nie całe społeczeństwo z miasta. W zimie „ogniska” odbywały się w pomieszczeniach szkolnych z kominkiem elektrycznym niby żarem.

Zdążyłam wziąć udział w dwóch obozach, które wspominam z sentymentem. Pierwszy odbył się na Pomorzu, w Damnicy koło Słupska, w przepięknych lasach Pomorza Środkowego. Do morza daleko i do jezioru Damno również, za to świerki imponującej struktury zaczynały swe gałęzie na ziemi, a strzelały w górę piramidalnie na kilkanaście metrów. Cudo przyrody!

Wieziono nas, cały pociąg towarowy pełen harcerek i harcerzy z

Lubelszczyzny, przez trzy doby. Wagony były brudne, nasz po piachu, który sypał się w oczy, włosy i w jedzenie. Miałyśmy sienniki wypchane słomą, wkoło stały ławki, które strasznie nam przeszkadzały, bo w rezultacie nasze głowy musiały zostać pod nimi. Przy różnych manewrach na bocznicach i przy zmianie toru przewracały się na nas. Ale to jeszcze nic. Gdzieś w połowie drogi zaczął padać deszcz. Wagon zaczął przeciekać. Strużki wody ściekały pod nasze sienniki. Wieziona w workach mąka, kasza i cukier zamokły, a my brudne, głodne, zmęczone, ale szczęśliwe dojechałyśmy na miejsce.

Same stawiałyśmy ogromne namioty na sześć osób. Budowałyśmy z otrzymanych od leśników tarcic prycze i półki pod plecaki. Prycza okazała się za krótka, a rezultatem tego był ból w kolanach i jęki przy porannej gimnastyce.

Nasza drużyna druhny Krysi Łenykównej miała trzy namioty ustawiono dośrodkowo. Pośrodku placyku stanął maszt z wciągana i ściągana codziennie podczas apeli flagą. Życie obozowe zaczynało się o 7-mej gimnastyką-torturą, a potem według wyznaczonego porządku. Obok namiotów mistrzynie zbudowały ceglana kuchnię i zadaszenie na słupkach. Stoły i ławy naszej jadalni pod chmurką oraz latryna w głębi lasu też były wykonane przez nasze koleżanki. Piszę to wszystko dlatego bo już po nas obozy organizowano w oparciu o szkoły, ze spaniem w salach, kuchnią wiejską i kucharkami – mamami. Nie

jestem pewna czy tym dziewczętom harcerstwo pomogło w życiu.

Kilka godzin przedpołudniowych wypełniała praca, fizyczna, nazywana „służbą Polsce”. Nasza drużyna miała zadanie wyjątkowo trudne polegające na plewieniu z jeżyn obszaru młodych sadzonek. Kolce jeżyn wchodziły głęboko w dłonie i dawały później odczyny zapalne z ropą. Nie miałyśmy do tej pracy ani narzędzi ani ochronnych rękawic. Wolałam więc na ochotnika zgłaszać się do pracy zaopatrzeniowca. Obie z Lalką (Ireną) Szomańską wędrowałyśmy ok. 2 km, a może więcej do pobliskiej wsi po chleb i do specjalnego magazynu, gdzie dawano nam skondensowane wojskowe amerykańskie mleko w puszkach. Jedną puszkę półlitrową chyba, konfiskowałyśmy dla siebie „za trud”. Zbaczałyśmy z drogi w pola i tam wypijałyśmy mleko zachęcając siebie wzajemnie: „popij mleczko”. To mleko było dla mnie prawdziwy lekiem ponieważ cały mój ciężko przechorowałam na zapalenie płuc. Leczona byłam chininą, bo penicyliny w Polsce jeszcze nie znano. Gorączka bliska 40 stopni nie opuszczała mnie przez dwa tygodnie. Byłam wychudzona i słaba. Zaczęły mi garściami wypadać włosy. Po powrocie mama pozwoliło mi obciąć włosy i zrobić pierwszą w życiu trwałą ondulację tzw. parową. Czy ktoś dzisiaj wie co to znaczy?



Harcerki z Zamościa na obozie w Damnicy w 1948 r. Część drużyny Krystyny Łenykówny (siedzi po lewej). Pierwsza stojąca z lewej Teresa Fabijańska, fot. arch. autorki

Okropna męka i niebezpieczeństwo poparzenia wrzątkiem, który

w specjalnych rurkach nie zawsze szczelnych, bulgotał przez godzinę na głowie. Potem skołtunione włosy niczym u merynosa, układał precyzyjnie fryzjer (przeważnie wówczas płci męskiej). W lewo i w prawo wyciskał głębokie bałwany, po czym odmieniona kompletnie wyglądałam dorosło i pretensjonalnie. Zostało to zauważone w szkole: czy wiecie, że ta mała Fabijańska zrobiła sobie trwałą? – zabrzmiało, jak skandal. Koleżanki przyjęły zmianę tolerancyjnie, a może z ociupina zazdrości.

„Wydarzenie” to odzwierciedlał też i utrwalił wiersz naszej klasowej poetki, Danki Cieliszak, wpisany do mojego pamiętnika:

Znam taką „Kropkę” co ma czarne oczy,

„Kropkę”, co często chodzi bardzo zła.

„Kropkę”, co niegdyś miała dwa warkocze,

Dzisiaj ta „Kropka” ondulację ma.

Skąd wzięła się „Kropka” nie pamiętam – fakt, że przez całą średnią szkołę nosiłam ten pseudonim.

Tymczasem w szkole wprowadzono reformę zamieniając przedwojenny system dwunastoletni na jedenastolatkę. W

rezultacie, po drugiej klasie gimnazjalnej znalazłam się w klasie dziewiątej. Wprowadzono nowy przedmiot – „Służba Polsce” z komendantką zamiast profesorki. Uczyłyśmy się musztry wojskowej, nawet strzelania z KBKS-u na prawdziwej, wojskowej strzelnicy i ciągle kazano nam śpiewać socjalistyczne piosenki. „Hej, Wy konie rumaki stalowe, hej, na pola prowadźcie że nas, niech zawarczą traktory bojowe, nam już w pochód wyprowadźcie się czas”. „Służba Polsce – święty sztandar nasz, celem dobro ludu, by nad Odrą czujnie trzymać straż, w pracy dokonać cudu”.

Do tych lekcji obowiązywał mundur składający się z wąskiej granatowej i bluzy koloru khaki, o wojskowym kroju z kieszeniami na biuście i patkami na ramionach. Na głowę były furażerki, które najlepiej nosiło się na ramieniu. Miałyśmy więc odmianę munduru. Zetempówki nosiły do tego stroju czerwone krawaty. Ani ja, ani Lalka, bardzo zaprzyjaźniona od czasu Damnicy, nie należałyśmy do tej masowej organizacji komunistycznej. Obie stanowiłyśmy filary reakcji i nawet nam się to udało do końca. Liczyłam się z konsekwencjami takimi, że nie dostanę się na studia, ale i tak byłabym przekreślona. Ojciec wrócił z niewoli i chodził w amerykańskim mundurze, do żadnej partii nie należał, pochodzenie inteligenckie – wszystko to stawiało przy moim nazwisku gigantyczną krechę.

Jedyną nadzieją był Katolicki Uniwersytet Lubelski, gdzie nie pytano o pochodzenie i przynależność organizacyjną, jedynie o

zasób wiedzy i zdolności. Na polonistyce na KUL-u studiowała już wtedy siostra Ela i zaczynał prawo Julek. Pełna więc otuchy i nadziei kończyłam szkołę ogólnokształcącą. Zwyczajem wcześniejszych lat pozwolono nam na wyhaftowanie symboli na czapce maturalnej. Właśnie, żeby łatwiej było odróżniać uczniów różnych szkół zamojskich, wprowadzono obowiązkowe czapki. Nasze miały kolor czarny, krój rogatywki z daszkiem czarnym i otokiem amarantowym, na którym złocił się żółty sznur. Czapki były bardzo gustowne i twarzowe. Miękki aksamit dobrze się układał i świetnie zginał, gdy trzeba było schować czapkę do teczek. O to noszenie na głowach stale wychowawczynie perswadowały i apelowały. Dopiero ozdobiona haftem, maturalna czapka stała się bez perswazji naszą dumą. A tym haftem było niewątpliwe curiosum – plan sześćioletni: na złotej siatce czerwona linia wykresu 1945 – 1951 z gołąbką pokoju u góry i czerwonym, wielkim napisem AKADEMIA ZAMOSCENSIS. Signum temporis. Symbol dawnej Akademii założonej przez hetmana Jana Zamoyskiego został samowolnie zmieniony i pozbawiony herbu rodowego „Jelita” (trzy włócznie). Takie pomieszanie z poplątaniem. No, ale tak było. Ktoś wymyślił, ktoś zaakceptował Czapka, jako pamiątka rzeczowa istnieje, chociaż nieco sfatygowana.

Stosunkowo często w szkołach i w harcerstwie organizowane były zabawy taneczne. Pierwszą zabawą, która trwała aż do godziny 23 była oczywiście studniówka, świetnie przygotowana

pod względem artystycznym wspólnie z kolegami z męskiego liceum – klas równoległych. Traktowaliśmy ich dość pogardliwie uważając za dzieciuchów nie umiejących tańczyć. Wzięli to sobie do serca i o dziwo! uczyli się na każdej przerwie. Któregoś dnia wybuchła afera, doszło do obrazy. I to kto? – Leszek, syn dyrektora Michała Bojarczuka nazwał nas „starymi gratami, z których sypie się próchno”. Sprawa oparła się o obie dyrekcje. Zażądałyśmy przeprosin. Wreszcie nasza pani dyrektor Hanna Porębska przyprowadziła do klasy purpurowego Leszka, który w obecności swojej sympatii, damy serca, stanął przed klasą i głośno nas przeprosił. Wtórował temu aktowi skruchy złośliwy chichot. Studniówka nie została odwołana i pięknie udała się, z zaangażowaniem obu szkół ogólnokształcących.

Na początek przedstawiliśmy operetkę z librettem pisanym przez Hanię Skopińską i Marysię Cieślakównę – dwie utalentowane, szalone dziewczyny, moje przyjaciółki z Zamościa i wcześniej z Hrubieszowa. Reżyserowała pani Regina Cieślakowa. To było świetne przedstawienie z tekstami o naszych szkolnych bolączkach, obrazujące wkraczający do szkół reżim stalinowski i bezsens niektórych działań zwłaszcza organizacji politycznej Związku Młodzieży Polskiej (ZMP), która zdominowała wszystkie organizacje i sterroryzowała grono nauczycielskie. ZMP decydowało o ich życiu. Ale młodzież, jak to młodzież zawsze sobie jakoś poradziła, chociaż byli koledzy, którym nie dano zdać matury, poszli siedzieć na zamku w Lublinie, rzekomo

zamieszani w zabójstwo milicjanta w niedalekim od Zamościa Zwierzyńcu. Prawdy nie dowiedzieliśmy się nigdy. Faktem był wyrok śmierci, złagodzony do 25 lat. Śmierć Stalina i czasy Gomułki ułaskawiły ich po kilku latach spędzonych w donżonie zamku (*okrągła wieża przyp. red.*), gdzie była woda po kostki, a po jakimś czasie także we Wronkach (więzienie we Wronkach dla więźniów politycznych uważane było za najcięższe). Jurka Kurzempy, tego uroczego, inteligentnego i bardzo zdolnego kolegi-filozofa nie widziałam już nigdy, a Jurka Kuszla, którego poznałam przez mojego brata Julka po zwolnieniu w 1954 – siwusińskiego, jakby miał 70 lat. Piszę o tym, by utrwalić ich pamięć.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

Powrót ojca z niewoli

Z rodzinnego albumu. Życie pod zaciemnieniem.

*

TERESA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA

**wybitny historyk sztuki, wieloletnia kustosz Powozowni
Zamkowej w Łańcucie**

Historia w karetach zaklęta